Nr. 17 (1477) Warszawa, 24 Kwietnia 1909 r. Rok XXIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja Rysia 3. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Rada familijna Koła Polskiego.

Zaznaczaliśmy dawniej fakt powstania Delegacji Obywatelskiej przy Towarzystwie Pracy Społecznej; stanowisko nasze do tej instytucji było już z góry przesądzone w czasie, gdy istniała ona dopiero jako projekt, a kwestję współdziałania z tą międzypartyjną organizacją przedyskutowano zasadniczo na zebraniu P. Zjednoczenia Postępowego.

Ogłoszona przez Delegację odezwa, zawierająca program i listę członków, nie zawiera bynajmniej nic takiego, coby pogląd nasz zmodyfikować mogło.

Delegacja będzie pewnego rodzaju przybudówką do Koła Polskiego, mającą na celu zdjęcie z niego ciężaru pracy i ciężaru odpowiedzialności. „Naczelne zadanie Delegacji polegałoby na tym, żeby w kwestjach, które obchodzą kraj cały, a których rozstrzygnięcia nie chce i nie może (!!) wziąć na swoją odpowiedzialność ani ta, ani inna partja polityczna, ani żadna instytucja społeczna, ażeby w tych kwestjach Delegacja wypowiadała na użytek naszego przedstawicielstwa w Petersburgu i do jego uznania, opinje wyświetlające istotne co do danej sprawy potrzeby kraju".

Pomińmy pobłażliwie zakalcowaty styl tego wyjaśnienia a zatrzymajmy się nad jego wielce charakterystyczną treścią:

Przyjmuje ono jako rzecz normalną i godziwą, by ludzie spełniający jakąś funkcję publiczną — np. broniący naszych spraw przed forum Izby państwowej, z góry składali ze siebie odpowiedzialność za charakter i rezultat swych działań. Do kwalifikacji działacza politycznego zalicza się przecież w pierwszym rzędzie — oprócz uzdolnienia odpowiedniego i znajomości stosunków — samodzielność charakteru i odwaga cywilna, poczucie obowiązku i poczucie odpowiedzialności. Każdy, kto na arenie publicznej działa, musi być gotów publicznie odpowiadać za każde swoje wystąpienie; jest to elementarny warunek politycznej dojrzałości, od którego nikt zwolnić się nie może. Kto „nie chce lub nie może" odpowiedzialności ponosić, ten sam konstatuje swą małoletniość lub niepoczytalność i dla niego istotnie kuratela jest niezbędna. Czy jednak ustanowienie politycznej kurateli nad małoletnim Kołem polskim jest wystarczającą gwarancją dojrzałości jego wystąpień?

Delegacja ze swej strony również całkowitej odpowiedzialności nie przejmuje. „Wyświetlanie istotnych potrzeb kraju" w każdej poszczególnej sprawie kazałoby przypuszczać, że przyznaje sobie powagę rozstrzygania o tym, co dla kraju robić należy, czego nie należy. Zasłania się jednak zastrzeżeniem, że nietylko zdania mniejszości lecz i poszczególnych jednostek komunikowane będą Kołu polskiemu — naturalnie do dowolnego uwzględnienia—oraz, że wyłączone są z pod kompetencji Delegacji „sprawy dotyczące taktyki parlamentarnej i wogóle politycznej" oraz „rozstrzyganie zasadniczych kwestji narodowego bytu".

Jeżeli więc Delegacja ma poprzestać na dostarczaniu Kołu tylko różnych próbek opinji do wyboru, jeżeli pozostawi mu rozstrzyganie zarówno spraw zasadniczych jak i taktycznych — to rozumie się samo przez się, że składa ona na nie całkowitą odpowiedzialność za pokierowanie obroną naszych spraw w Izbie Państwowej. W takim razie rola jej redukuje się do roli biura pomocniczego, lub też laboratorjum do społecznych badań, roli niewątpliwie bardzo pożytecznej, lecz którą i bez niej spełniać mogło Towarzystwo Pracy Społecznej — nie monopolizując jej wyłącznie w swych rękach, gdyż i inne społeczne instytucje wedle sił i możności niewątpliwie spełniać ją będą.

Dotychczas więc mimo odezwy i dopisywanych do niej w artykułach wstępnych komentarzy — pozostaje rzeczą całkiem niejasną — czym właściwie zamierza być Delegacja? Instytucją polityczną? A więc czemuż się odrzeka rozstrzygania politycznych spraw?

Pracownią naukowo społeczną? Taka — zdaje się — już była. Żyrantem polityki Koła polskiego? Na czymże jednak polega jej odpowiedzialność,—odpowiedzialność organizacji, złożonej przez kooptację, przez zapraszanie przyjaciół naszych przyjaciół z dodatkiem osób, które ich zaufanie posiadają?

Wszystko to razem wzięte dowodzi, że twórcy Delegacji — „nie rozumieją istoty życia politycznego" — t. j. że do nich właśnie odnosi się zarzut, który *Głos Warszawski* stawia ogółowi społeczeństwa.

Świadczy o tym również niezaprzeczenie chęć przeprowadzenia linji demarkacyjnej między „poszczególnymi sprawami ekonomicznymi, społecznymi i kulturalnymi"—a sprawami politycznymi, oraz złudzenie że na tle tych „napozór drobnych spraw" łatwiej jest uniknąć „międzypartyjnego tarcia".

Rzecz się ma wprost przeciwnie; doświadczenie uczy, że *doraźna* solidarność narodowa wytwarza się żywiołowo niemal tam, gdzie są w grze „zasadnicze kwestje narodowego bytu", — niemożliwą zaś jest w poszczególnych sprawach, gdzie zamiast ogólnego interesu narodowego lub mglistej syntezy „potrzeb kraju", występują z natury rzeczy na plan pierwszy interesy grup społecznych i całkiem sprzeczne nieraz między sobą dążenia idejowe różnych partji.

Swoją drogą niema najmniejszej obawy, by wewnętrzne „międzypartyjne tarcia" miały się istotnie dać we znaki organizacji, która jest międzypartyjną tylko z imienia. Wszystkie żywioły w skład jej wchodzące nagół podzielić można tylko na różne odcienie realistów: realistów partyjnych i bezpartyjnych sympatyków, realistów pochodzenia ugodowego lub narodowo-demokratycznego, dawno lub świeżo nawróconych na realizm polityczny, jego kandydatów, magistrów i doktorów. Przeszłość nieraz może stawiała tych ludzi przeciw sobie, teraźniejszość zatarła wszelkie urazy i skrupuły a wspólna praca może ich jeszcze bardziej zbliżyć, z klubu politycznego wytwarzając spójny i jednolity amalgamat partyjny.

Słusznie też mówi *Głos Warszawski*, że „Delegacja nie jest koncentracją stronnictw". Dodaje dalej, że „jest ciałem powołanym do ściśle określonego zakresu działania".

Do tego ciała dorobili głowę realiści — wbrew ambicjom i marzeniom p. Dmowskiego, który już do roli głowy przywykł nieco i—nie będąc prezesem Koła, zapewne pragnąłby być prezesem czegoś innego. Jako z naturalnym biegiem rzeczy musi się jednak pogodzić z myślą, że w polityce realistycznej wysunęli się na czoło realiści starsi rangą i latami służby — nie zaś nowozaciężni. Pracując przy jednym warsztacie obok pana Piltza — coraz dokładniej przekonywać się będzie, jak mało różnią się między sobą po zrzuceniu mundurów partyjnych, w których walczyli przeciw sobie.

Głos Warszawski gniewa się i wyraża naiwne zdziwienie, że bezpartyjna prasa nie popiera dość gorąco nowej instytucji, gniewa się, że *Goniec* nazwał ją „organizacją konserwatystów". Zarówno prasa jak ogół wiedzą już przecież z doświadczenia, że nie wszystko jest tym, czym się nazywa — że jak Narodowa Demokracja mogła wcale nie być demokracją—tak i bezpartyjna Delegacja może nie być bezpartyjną.

Niedawne wspomnienia analogicznych przedsięwzięć Narodowej Demokracji nauczyły ludzi, w jaki to sposób przy pomocy rzekomo ogólno-narodowych instytucji bierze się w arendę opinję publiczną, jak się fabrykuje głos większości społeczeństwa, posługując się różnymi symbolami przedstawicielstwa ogólno-krajowego.

Kurjer Warszawski naprzykład obwieszcza, że w delegacji zasiada 27-miu członków, przeważnie prezesów 18 instytucji społeczno-kulturalnych, na mocy

---

15)

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

VI. BURZA.

Na tapczanie 5 Tego nowaka, który przyszedł z Klimenem, Madora, będą bili.

— Za co?

— Za te dwa słóweczka, które wymówiłeś.

— Nie rozumiem.

— To cię nauczę, ażebyś się nie dostał pod pałki. Naczelnik wezwał mnie i jego do kancelarji, ażeby się dowiedzieć, jaką wyznajemy religję. Ja odrzekłem, że każdą a on się uśmiechnął. — Tu śmiać się nie wolno! — krzyknął naczelnik i polecił dozorcy: Na siodło przez trzy godziny i pięciofuntowe kule do nóg. — Za co? — spytał Mador. — Dziesięć kijów! — huknął naczelnik. — Za co? — Trzydzieści kijów?—Za co? — Pięćdziesiąt kijów. Ten pytał a tamten mu dokładał. Widzę, że głupi ginie, więc targnąłem go za rękę: Milcz, bo ci na gnatach mięsa dla pchły nie zostanie! Ale on widocznie już nie mógł powstrzymać rozpędzonego języka. — Ach, ty podłe zwierzę! — zawołał. — Sto kijów! — wrzasnął naczelnik i kazał go odprowadzić do samotki. Będzie teatr!

Słuchacze puścili wiadomość po więzieniu, nie obiegła ona go jednak całkowicie, gdyż duży stłok skazańców zatopił uwagę w jeden z tapczanów, na którym siedzieli dwaj gracze, zapatrzeni w koło, nakreślone kredą na pole rozpostartej kurty.

Na tapczanie 6 Nie poruszaj się!

— A ty nie dmuchaj!

— Co? Mam nie oddychać?

— Nie trącajcie tapczana, dzikie bydło! — krzyknął jeden z graczów do stłoczonych aresztantów. Nie możecie tak samo się bawić? Brak wam wyścigowców — co?

— Wszystkich obłupiłeś, to możesz grać a my już nic nie mamy! Kto ci tu przeszkadza?

czego, z czasem Delegacja twierdzić spróbuje, że jej opinja jest opinją tych ośmnastu instytucji, jakkolwiek dziś zastrzega, że wchodzą oni tam „nie w charakterze delegatów lub przedstawicieli". Głos członka wydziału kółek rolniczych będzie niewątpliwie uważany z czasem za głos całego włościaństwa polskiego; panowie Brun, Natanson, Geisler i Surzycki zabierać będą głos jako kupcy i przemysłowcy m. Warszawy; ks. Godlewski mówić będzie za wszystkich robotników, pp. Sadzewicz, Olchowicz, Balicki i Straszewicz za całą literaturę i prasę i t. p. Jak rodzynki z placka powybierani z każdej klasy społecznej mężowie zaufania staną się symbolem „zorganizowanej opinji kraju".

Na drażliwe pytanie, zadane przez współpracownika *Kurjera Warszawskiego* jednemu z inicjatorów— tenże odpowiedział skromnie: „Wobec niemożliwości zorganizowania się na gruncie elekcyjnym, Delegacja przemawiać będzie w swoim imieniu"... „Sądzimy jednak, że i tak (!) Delegacja uważać się może za wyraz opinji większości kraju".

To „i tak" — jest w swoim rodzaju klasyczne!

Gdy szachowi perskiemu błysnęła gienjalna myśl mianowania posłów i próbował dowodzić, że to *i tak* będzie parlament, ambasadorowie mocarstw wyperswadowali mu te niewczesne żarty. Czy inicjatorowie Delegacji sądzą, że Warszawa ich perski plagjat weźmie na serjo?

m.

Sprostowanie.

Ktoby przypuścił, że jest na świecie jeden niezwyrodniały moralnie Polak, pragnący zabłysnąć bodaj na chwilę w tej konstelacji politycznej, w której główną gwiazdą jest *Nowoje Wremia?* Ale możliwość, jak wszechświat, nie ma granic, a może nikt dalej ich nie rozszerzył słowem, niż ta „Wielka Niedźwiedzica" prasy rosyjskiej. Nie dziw też, że dziennik, który od lat 40 bije najgrubszą pałką naród polski, przepędzany ciągle „skwoź stroj"; który pieści swe uszy brzękiem jego kajdan i niezmordowanie śledzi, czy pozbawiony wszelkich praw skazaniec nie korzysta z jakiejś maleńkiej swobody; który prawie codzień jak boa owija się około ofiary i usiłuje ją udusić ściskiem swych skrętów, nie dziw — mówię — że taki dziennik powołał się na mnie w wykrętnym usprawiedliwieniu odcięcia Chełmszczyzny. Są w Rosji ludzie, którzy opinję wysoko cenią i którzy mogliby choć w części uwierzyć zapewnieniu *N. Wremieni.* Nie chcąc, ażeby moje nazwisko znajdowało się na szali, na którą ta gazeta składa swoje argumenty, proszę uprzejmie redakcję *Rieczy* o miejsce dla poniższego wyjaśnienia.

Wszelka religja, bez względu na jej wartość filozoficzną i kulturalną, stanowi dziedzinę, do której nie należy ani wrzucać kamieni, ani wchodzić z brutalnym hałasem a tym mniej z batem. Bo nawet w swej najniższej postaci wyraża ona szczery stosunek człowieka do tajemniczej prasiły świata i usuwa z duszy wierzącej muł, który w niej osadza życie. Ale chociaż rzeka toczy wodę czystą, stawiane na niej młyny mogą być brudne. Religja, użyta jako środek do zatkniętego poza nią celu i narzędzie gwałtu, traci swój niepokalany charakter, schodzi na najniższy poziom moralny, staje się dziką okrutnicą i złą jędzą. Czy ta, która ostrym mieczem wycinała katolicyzm i polskość w Chełmszczyźnie, była religją Bogu służącą, a zwłaszcza czy była Chrystusową? Historja ostatnich dziesięcioleci dała straszną na to pytanie odpowiedź. Nie będę przypominał powszechnie znanych i częściowo ogłoszonych szczegółów męczeństwa, będącego jak gdyby odbiciem prześladowania pierwszych chrześcijan; sądzę, że posłowie polscy w Dumie odczytają przy odnośnych rozprawach tę krwią i łzami spisaną kartę, na którą żaden patryjota polski nie może spojrzeć bez bólu, żaden patryjota rosyjski bez wstydu i żaden człowiek uczciwy bez zgrozy.

Nowoje Wremia swoim wężowym wzrokiem widzi w tej martyrologji tylko walkę z „opornymi unitami" i „wściekłą agitację księży". Czy jest wyraz, któryby bardziej zdradzał wynaturzenie istoty religji a nadewszystko nauki Chrystusa, niż ci „oporni"? Bo przecie świadczy on, że są między unitami tacy, którzy nie chcą być „nawróceni", których wiarę usiłowano zgwałcić, którzy nadal mają podlegać dawnej, nieco złagodzonej operacji i dla któ-

---

Zamilkli i usiłowali zachować spokój. Przypatrujący się skazańcy stali jak kępa nieruchomych drzew, pochylając tylko coraz niżej rozciekawione, kudłate głowy. Roznamiętnieni gracze śledzili coś gorączkowym wzrokiem a po ich twarzach przelatywały to błyski zadowolenia, to chmury gniewu.

— Kręcą się ścierwnice, jak pijane.
— Kurta zbyt włochata, w dużym włosie mają trudny chód.
— Trzeba wziąć inną, bo przykucną i zaszyją się.
— Moja znalazła drogę, sunie prosto. O, idzie, idzie... Dalej, mała!
— Nie wyj! Moją straszysz!
— Huknij na nią bo widać usiadła i jajka znosi.

W otoczeniu z kilku ust wypadły śmiechy.

— Czego parskacie, wywloki?
— Moja pędzi! Ścigła szelma! Nie wierć się!... Zatrzymał ją, hycel! Wraca! Czy ty grasz rzetelnie?
— Gram, ale ci mówię ostatni raz, stul ryj, bo moja się boi.

Zacichło. Z niespokojnych drgnień twarzy widać było, że walka toczy się coraz żywiej i zapiera oddechy coraz mocniej. Nagle jeden z graczów potężnie kaszlnął a drugi zerwał się z tapczana

— Oszust! Umyślnie zakaszlał, ażeby moją wydmuchnąć za koło, do którego już docierała! Nie chcę grać dalej z szachrajem!
— Ale zapłać, bo moja dochodzi!
— Zęby ci wybiję i nimi zapłacę!

Zawrzała obelżywa kłótnia, która z uczestników pzeniosła się szybko na świadków. Nareszcie jeden z graczów zawołał:

— Niech nas rozsądzi Klimen! On sprawiedliwy. Co rzeknie — przyjmę.

Sprowadzono Klimena, który w odległym kącie izby siedział na swoim tapczanie i rozmawiał cicho z kilkoma więźniami. Na jego bladej twarzy, obramowanej długimi włosami, barwiły się sine plamy.

Klimen Czego chcecie?
Skazaniec Ja z tym oto urządziliśmy wyścig wszy.
Klimen Co takiego?
Skazaniec Zwykłą zabawę aresztancką: w środek koła, nakreślonego kredą na czymś czarnym, wpuszcza się dwie wszy, należące do dwóch graczów. Czyja naprzód dojdzie do obwodu, ten

rych Ukaz o tolerancji ma być tylko maską nasyconą chloroformem dla znieczulenia cierpień. Ani „oporu", ani przymusu nie zna żadna religja ziemi, nie zna ich również chrześcijańska. Jest to dopełnienie ewangielji przepisem policyjnym.

A jakaż to była owa „wściekła agitacja księży"? Czy oni chrzcili, łączyli ślubami i grzebali unitów przy pomocy praw wyjątkowych, pol cji i wojska? Czy „opornych" karali administracyjnie i sądownie, czy ich bili, odzierali z mienia, rozganiali po najodleglejszych okolicach państwa i wtrącali do więzień? Nie. Oni tylko przed Ukazem o swobodzie wyznań oddawali im tajemnie posługi religijne, a po Ukazie nieraz nakłaniali a częściej ułatwiali przejście na katolicyzm. Najgorliwsi z nich działali jedynie namową, żaden — siłą. Mogli popełniać błędy, ale nie popełniali zbrodni. Czy były możliwe krzywdy i porażki prawosławia w walce, w której po jednej stronie stał ubezwładniony ksiądz, a po drugiej wszechwładny pop, rozporządzający całą potęgą opieki rządowej? Mimo wszakże tej olbrzymiej różnicy, mimo że „wściekła agitacja" kleru katolickiego w swym największym rozpędzie ograniczała się zaledwie do otwierania drzwi swej świątyni tym unitom, którzy do niej z własnej woli lub namowy wejść postanowili, powinien on był w swych zabiegach zachować większą wstrzemięźliwość i przewidzieć skutki nie dość ostrożnej skwapliwości. Księża zbyt naiwnie ocenili wpływ Ukazu o swobodzie wyznań, zbyt ślepo uwierzyli, że łby, które on urwał prześladowanej hydrze, już nigdy nie odrosną i że zmartwychwstaną stare moce nietolerancji, słowem, zbyt wyłącznie zapatrzyli się w doraźne korzyści religijne i dlatego nie dostrzegli niebezpieczeństw narodowych. Nie rozstanę się z tym niezłomnym, przeszłością i teraźniejszością naszą uzasadnionym przekonaniem, że utożsamianie polskości z katolicyzmem jest starym i szkodliwym błędem naszej polityki, że Polakiem, jak Szwajcarem, Włochem lub Francuzem, może być wyznawca wszelakiego kultu, że my musimy rozszerzyć w tym kierunku pojęcie naszej narodowości a z nią podstawę i obronę naszej kultury. Ale tym mniemaniem wyczerpu e się całe moje „osużdienie" kleru polskiego w sprawie Chełmszczyzny. Postąpił on tak, jakby postąpił drozd, gdyby usiadł w otwartej paszczy śpiącego lwa i wydłubywał z pomiędzy jego zębów resztki jedzenia, zapomniawszy o tym, że lew się obudzi, paszczę zamknie i jego zmiażdży.

Zamierzone odcięcie kawała ziemi naszej z ludnością przeważnie a kulturą wyłącznie polską jest nietylko „czwartym rozbiorem Polski", lecz pośrednio także podważeniem nowych podwalin ustroju państwowego, w którym miało się również rozwijać nasze życie. Jest to dalszy ciąg niszczenia planu wspaniałej reformy, ogłoszonego w zarysie przed czterema laty. Dwa największe akty dziejów Rosji, wyrównywające swą doniosłością dwom podobnym aktom konstytucji angielskiej, Manifest październikowy i Ukaz o wolności wyznań, uległy temu losowi, co dzieła filozofów starożytnych, w których między wiersze nieudolni komentatorowie wpisywali swoje mizerne zaprzeczenia i uwagi. W taki sposób wstawiono do owych aktów obok innych projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny. Jest to wielkim nieszczęściem dla narodów, gdy ich historję tworzą ludzie mali, którzy w jej tkaninę nie wplatają swych imion, którzy umierają całkowicie, którzy nie wnoszą osobiście swych czynów przed sąd potomnych, którzy skrywszy się do grobu, unikają odpowiedzialności. Pod tą osłoną, z sumieniem wyginanym w różne strony przez interes, z wolą zamkniętą w samolubstwie, nowowremieńcy wszelkiego rodzaju, miary i stanowiska mogą swobodnie i bezpiecznie czynić prawdę, sprawiedliwość, religję służebnicami fałszu, krzywdy i gwałtu, mogą z miłości dla „opornych" i z nienawiści do „wściekłej agitacji księży" odrąbywać Chełmszczyznę. Wszakże nic im nie grozi: w teraźniejszosci mają zysk, w przyszłości — żadnej straty, nawet niesławy. A że ta niesława spadnie na ich czas, na czyny, w których współdziałali — co to obchodzi ich, bezimienne cząsteczki złej masy?

A. Świętochowski.

Zamożność krajów austryjackich.

(Według rezultatów dziesięciolecia podatku osobisto-dochodowego)

Mierzenie narodowego dochodu należy do najtrudniejszych i najmniej dotąd rozwiązalnych zagadnień ekonomicznych, możliwe zaś jest tylko w krajach, w których istnieje podatek dochodowy.

Podatek ten, uznany przez naukę skarbowości za najracjonalniejszą formę opodatkowania, nakłada ciężary na dochód rzeczywisty, niezależnie od źródła, z którego płynie, dąży do silniejszego obciążenia do-

---

wygrywa stawkę. Kiedy moja była już blizko mety, on umyślnie kaszlnął i przerzucił ją za granicę. Czy ja powinienem uznać to za wypadek?

Klimen Moi ludzie, ja mogę wam tylko poradzić, ażebyście wogóle nie obdzierali się i zniepprawiali. Niektórzy z was przegrywają kilkodniowe jadło i głodzą się, inni przegrywają odzież i są karani przez władzę. A już ze wszystkich sposobów szulerki chyba ten jest najwstrętniejszy.

Odezwały się szemrania i śmiechy.

Skazaniec Zrób nas panami, będziemy hodowali konie do wyścigów, a ponieważ jesteśmy więźniami, hodujemy wszy.

Głosy A no tak! Będziesz i ty niedługo miał na sobie taką stajnię!

Jakiś skazaniec, wpuszczony z zewnątrz, potrząsając pięściami, ryknął:

Skazaniec Zabiję! Żeby mnie mieli na pasy podrzeć — zabiję zdrajcę!

Głosy Wynajdziemy go!
— Zrobić zaraz sąd!

Klimen *(idąc ku aresztantom)* Co się stało?

Skazaniec Gdyby z grobów wyszli i tu stanęli, wymordowałbym wszystkich, ktorzy płodzili takie podłe plemię *(ochłonąwszy—do Klimena)*. Przed dwoma laty złapałem podczas robót w lesie wiewiórkę. Oswoiłem ją i więcej kochałem, niż rodzone dziecko. Przez dzień sypiała u mnie w rękawie a w nocy chodziła sobie po więzieniu i zbierała orzechy, cukier, okruszyny, które dla niej kładliśmy przy kratach okien. Wszyscy ją lubili, ona była naszym dobrym duchem. W nią musiał bóg wejść, bo ile razy do niej pomodliłem się gorąco, stawało się, czego chciałem. Inni także jej pomocy doświadczyli. Przez cały rok ją ukrywaliśmy, nikt z nas pod toporem by jej nie zdradził, dopiero dziś...

Głosy Słyszycie!
— Kto?

Więźniowie z szumem i pokrzykami stłoczyli się około mówiącego

Skazaniec Wzywa mnie naczelnik i powiada: Ty chowasz wiewiórkę? — Nie — odrzekłem. — Pokaż rękaw. — Wsunął mi rękę w kurtę i wyciągnął zwierzątko, które od mocnego ściśnięcia aż zapiszczało. — A to co jest? Ty śmiesz do

chodów wyższych, pobierając z nich wyższe odsetki, w postanowieniach dodatkowych zaś stara się uwzględnić pewne indywidualne właściwości gospodarstwa podatkowego (obdłużenie, ciężary wynikające z innych podatków, klęski chwilowe, liczniejsze rodziny i t. p.), z powodu których przewiduje odpowiednie zniżki. Większość ustaw podatkowych pozostawia minimum dochodu wolne od podatku, opierając się na fakcie, iż tylko część ludności pobiera dochód wystarczający do utrzymania rodziny, a zatym jest w stanie opłacić zeń kwoty na rzecz ogólnych wydatków państwa. Minimum wolne od podatków w zasadzie powinnoby sięgać aż do rocznej kwoty, niezbędnej dla utrzymania rodziny, ponad którą rozpoczynać się dopiero mogą świadczenia jednostkowego gospodarstwa dla ogółu. Określeniem tego minimum kierują przecież zwykle fiskalne obliczenia; dlatego jest ono bardzo różnym i nie stosuje się ani do stopy życiowej przyjętej w kraju, ani do zamożności tegoż. [1])

Ustawa austryjacka o podatku osobisto-dochodowym, najpóźniejsza z istniejących (z dn. 25/X 1896 r.) przyjmuje minimum niepodatkowane 1200 koron, a zatym względnie do zamożności krajów habsburskiej monarchji i do nizkiej stopy życiowej, przyjętej w tych krajach, zwłaszcza słowiańskich, bardzo wysokie. Zważywszy jednak ceny utrzymania, głównie produktów spożywczych i mieszkań, kwota 1200 kor. (480 rb.) jest istotnie głodowym minimum, poniżej którego utrzymać rodziny niepodobna, nawet najskromniej. Tym ważniejsze jest przeto socjalne znaczenie podatku, który podzielił ludność na dwie wielkie warstwy: grupę posiadającą środki dostatecznego utrzymania i drugą, której dochody nie starczą na utrzymanie, uznane za minimalne. Leży przede mną sprawozdanie urzędowe, nie skłonne do uwydatniania pokrzywdzeń społecznych, ale również dalekie od ukrywania istotnego stanu rzeczy (Mittheilungen des K. K. Finanzministeriums z 1 grudnia 1908 r.). Z obszernego cyfrowego materjału jaki podaje, obliczam, iż w całej Austrji do rodzin, mających dochód powyżej 1200 kor., należy zaledwie $114^0/_{00}$ ludności. A cóż powiedzieć o Galicji, gdzie zaledwie 35 osób na 1000 należy do gospodarstw podatkowych, opłacających podatek osobisto-dochodowy. A zatym tylko $3{,}5^0/_0$ ludności żyje w warunkach, które mogą wykluczać biedę! Nie znaczy to bynajmniej, aby żyły one w dostatku. Nie należy także przypuszczać tu specjalnej względności władz podatkowych. [2]) W swej czarno-żółtej gorliwości przyjmują one raczej dochód za wysoki, a cyfry galicyjskie dostarczają na to dowodów. I tak, sądząc na podstawie wysokości dochodu, przypadającego na jednostkę opodatkowaną (3324 korony), Galicja stałaby na trzecim miejscu wśród krajów Austrji, a Lwów i Kraków na 6-ym i 7-ym między miastami monarchji.

Zatrzymajmy się jeszcze chwilę przy społecznej granicy, wytworzonej przez podatek osobisto dochodowy. W najbogatszym z krajów autryjackich opłaca go około 31 proc. ludności; w Czechach przeszło 12 proc., a nawet na Ślązku z jego proletarjatem górniczym 10,2 proc., a zatym prawie trzy razy więcej niż w Galicji.

Cyfry podatku osobisto-dochodowego przynoszą przecież obok tego rozpaczliwego uwydatnienia niedostatku ogólnego i nędzy galicyjskiej specjalnie, pocieszające dane. Liczba gospodarstw podatkowych wzrasta dużo szybciej od ludności. W całej Austrji liczono w 1898 r. 711,512, a w 1907 r. już przeszło miljon. Dodając rodziny opodatkowanych, liczba osób wzrosła z 7.3% na 11.4% ludności. W Galicji liczba gospodarstw opodatkowanych wzrasta z 55,824 w 1898 roku na 86,615 w 1907 r., a licząc wraz z należącymi tu członkami rodziny, ze 156 na 278 tysięcy. Czysty dochód opodatkowany wynosił w całej Austrji w 1898 r. przeszło 2 miljardy 303 miljonów, w 1907 r. przeniósł $3^1/_4$ miljardów, czyli dochód średni gospodarstwa podatkowego podniósł się z 3,250 na 3,275 koron. Dochód państwa z podatku osobisto-dochodowego wzrósł o trzecią część, t. j. z 44 na 65 miljonów [3]). Największą zwyżkę wykazują dochody płynące z pensji i płac, obniżają się zaś, względnie do innych kategorji, dochody z roli, przedsiębiorstw samodzielnych i kapitałów. Jakie znaczenie miały w tym umiejętnie wnoszone rekursy, orzec trudno. Nie ulega przecież wątpliwości

[1]) Wyjątek stanowi Anglja, w której podatki dochodowe zobowiązują tylko dochody ponad 160 f. szt. (1600 rb.) W Saksonji podatkowi dochodowemu podlegają dochody ponad 400 marek, w ks. Badeńskim i w Hesji ponad 500, w Prusiech ponad 900. Różnice w kosztach utrzymania, czy w przyjętej za minimalną stopie życiowej, niewątpliwie nie idą tak daleko.

[2]) Za powód do nałożenia podatku wystarcza niekiedy, w wypadkach, w których dochód daje się ukryć, że „delikwenta" widziano u „Hawełki".

[3]) Wysokość podatku normuje się według wysokości dochodu ustalonego przez komisję, a stopa podatkowa waha się między $0{,}6^0/_0$ a $5^0/_0$ zależnie od wysokości dochodu.

---

mnie z nią przychodzić i jeszcze się zapierać? — Grzmotnął biedactwo o ziemię i zabił. Nie wiem, co by się stało, gdyby mnie dozorcy nie przytrzymali. Tylko zapłakałem z bólu i złości. Ale ja nie daruję temu, kto zdradził, choćby się pod dno morza zakopał.

Głosy Kto doniósł?

Skazaniec Nikt ze starych towarzyszów, tylko jakiś nowy gość, jeden z tych, co to zabijają i kradną, ale mordercami i złodziejami gardzą. Tak, panie Klimen!

Klimen Kogo podejrzewacie?

Więzień (stojący przy oknie) Żołnierze z prętami ustawiają się w szeregi: będą bili Madora.

Skazaniec Madora?

Klimen zachwiał się i usiadł na tapczanie. Więźniowie rzucili się do okien.

Głosy Już go prowadzą... Rozbierają...

— Ile razy przejdzie?

— Ilu żołnierzy? Po pięćdziesięciu w dwuch rzędach... Tylko raz...

— Zapchaliście całkiem okna... Pozwólcie i nam zobaczyć!...

— Naczelnik dał znak...

— Huu! Jaka młocka!

— Niektórzy biją z całej siły, inni się tylko zamierzają.

— Już całe plecy okrwawione..

— Na prętach odrywają się kawałki ciała...

— Przysiadł... Wyprostowali go...

— Biedak doszedł do połowy... Upadł...

— Chlustają wodą...

— Stanął... Posuwa się... Biją... Ach, jak go jeden uderzył po głowie...

— Padł na twarz... Cucą... Odnoszą go... Pewnie już umarł...

— Omdlał... Wyleczą i resztę dołożą...

— Nie, chyba już trup.

Więźniowie odsunęli się od okien i zwrócili machinalnie ku Klimenowi, który połową ciała leżał na tapczanie z zamkniętymi oczami... Właściciel wiewiórki trącił go w rękę.

Skazaniec Panie Klimen... To nie Mador doniósł...

Trząsnął go mocniej.

Sztywny... Nie oddycha... Nie żyje...

(D. C. N.)

podwyżka dochodów z pensji i płac, podwyżka znaczna z 916 miljonów na $1\frac{1}{2}$ miljarda koron, odpowiadająca podwyżce płac robotniczych i dokonanej w ciągu dziesięciolecia zwyżce urzędniczych pensji. Według wysokości dochodów, zmiany w liczbie gospodarstw podatkowych przedstawiały się w ciągu dziesięciolecia:

Dochody:		Gospod. podatk. w 1,000 w 1898 r.	w 1907 r.
najniż. opodatk.	(1200— 1800 k.)	348	496
średnie urzęd.	(1800— 7200 k.)	323	493
wysokie	(7200—40000 k.)	37	54
najwyższe	(powyżej 40000 k.)	3	4,1

Gospodarstw podatkowych powyżej 200 tysięcy koron dochodu liczono w 1907 r. 359, a opłacany przez nie podatek dochodził do 9 miljonów koron.

Rozpatrując odpowiednie cyfry z Galicji, znajdujemy dochód surowy w 1000 koron:

Z ziemi	Z domów	Z samoist. zajęć i przedsięb.	Z pensji i płac	Z proc. kapitału pieniężn.	Dochód ogólny
W 1898 roku					
39250	26324	62030	66622	23598	224140
W 1907 roku.					
51774	37930	95031	123102	31724	342554

I w Galicji przeto największy wzrost okazują dochody z płac i pensji, najniższy zaś procenty kapitału pieniężnego. Odpowiada to bardzo znacznej poprawie płac zarobkowych i regulacji pensji urzędniczych.

Mówiąc o tej poprawie bytu najmniej zamożnych warstw ludności, nie trzeba przecież zapominać o ogólnej niemal podwyżce cen na środki, spożywcze i mieszkania, które pochłonęły znaczną część jeżeli nie, całkowitą nadwyżkę dochodów. Małe sumy odsetków od kapitału pieniężnego wytłumaczyć można nietyle brakiem tego kapitału, co łatwością ukrycia ich zwyczajem deponowania w bankach zagranicznych, rozpowszechnionym wśród ludzi bogatych, który to ukrywanie ułatwia, a wreszcie inwestycjami kapitałów zagranicznych, od których odsetki płyną za granice kraju.

Rozpatrując stosunki galicyjskie ze stanowiska wysokości dochodów gospodarstw podatkowych, widzimy pozornie nielogiczne zjawisko, że gospodarstwa o najniższych kategorjach dochodu (od 1200 — 3600) obejmują w Galicji mniejszą część ludności niż w innych krajach austryjackich. Najwyższe zaś, czy wyższe przewyższają średnie cyfry dla całego państwa.

Na 1600 gospodarstw podatkowych liczono w roku 1907 gospodarstw z dochodem koron

	1200—3600,	3600—7200,	7200—12000,	wyż.12000
W państ. całym	815	124	32	24
w Galicji	782	153	38	25

Cyfry te nie są dowodem zamożności, ale niższości ekonomicznej Galicji. Do pierwszej kategorji dochodów zaliczone bowiem mogą być także płace zarobkowe lepiej płatnych robotników, których Galicja liczy względnie mniej niż inne kraje Austrji. Według ogólnego dochodu zaś stoi Galicja, której ludność stanowi 28% ogólnej w monarchji, na trzecim miejscu.

Austrja Niższa bogatszą jest od niej pięć razy a Czechy ze swoją niższą ludnością prawie dwa i pół razy. Oba te kraje powiększyły liczbę ludności z dochodem powyżej 1200 przeszło o $\frac{1}{3}$ część. Postęp Galicji równać się z nimi nie może, nie da się przecież zaprzeczyć i dotrzymuje kroku bogatym Morawom.

Oto kilka cyfr świadczących, że dziesięciolecie ostatnie dało dla Austrji korzystne rezultaty ekonomicznego rozwoju. Jakże znaczną część ich przecież połknął moloch militaryzmu, nawet dziś kiedy stoimy jeszcze w przededniu wypowiedzenia wojny.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

Z DNA NĘDZY.

VII. Herszt.

Dozorczynie więzienne niejednokrotnie nas zapewniały, że gdy „przyjdzie H." nie będziemy śmiały wejść do IV celi. H. bano się w ratuszowym areszcie. W opowieściach wyglądała jak legiendarny djabeł. Przyznaję, że oczekiwałyśmy z upragnieniem poznania się z nią. Zwiastował nam jej przybycie usłyszany na korytarzu obcy głos, bardzo hałaśliwy, o tonie bezwzględnym, rozkazującym, po pijacku ochrypłym, głos wybuchający co chwila brutalnym śmiechem.

H. ma lat 22, gęstą rudą czuprynę, żywe bardzo, pełne wyrazu szare oczy, twarz dużą, bladą, nalaną, zmysłowe usta blade, bezkrwiste, ręce i nogi grube i ordynarne. W jej rozwichrzonej czuprynie i w oczach jest wyraz i życie, ale twarz i całe czoło robią wrażenie ciężkie, anemiczne, nabrzmiałe, bez wdzięku. Usta pełne śmiechu i żartu, ale w jej uśmiechu i żarcie brak zupełnie wesołości, — jest coś robionego, cynicznego i trywialnego. Czułam, że w duszy H. nie śmieje się nigdy

H. ubrana jest niedbale, nieporządnie; całe dnie chodziła bosa, roztargana. Wychodząc na spacer na podwórze, ubierała się w eleganckie palto, czesała modnie rozwichrzoną czuprynę, wdziewała buciki na wysokich obcasach, ale w ubraniu tym ruszała się sztucznie, czuło się, że jest jej w nim nieswojo. Nie spostrzegłam nigdy, aby ubraniem chciała imponować innym, albo żeby jej ubranie strojne imponowało. Lubowała się tylko w czerwonym kolorze: bluzki jej, spódnice, wstążki, nawet włóczka, którą zawiązywała włosy, były czerwone. Opowiadała, że lubi, aby do niej pisywano listy na czerwonym papierze zielonym atramentem: „kolory nadziei i miłości". (Pisać nie umiała, ale niechętnie przyznawała się do tego).

H. była wiecznie w ruchu, choć prawie nigdy nie robiła nic. Gdy rozdawałyśmy roboty, chwytała każdą, lecz po chwili rzucała lub kazała komuś robić ją dla siebie, (raz tylko widziałam ją pracującą dłużej, gdy zmudnie nawlekała długi sznurek drobnych paciorków... czerwonych). Nie widziałam też nigdy, aby brała udział w pracach około utrzymania porządku w celi — i nikt nie śmiał jej tego zaproponować. Czytania słuchała chętnie biorąc udział w dyskusji, ujawniając przy tym dużo inteligiencji i samodzielnego sądu.

W IV celi H. rządziła nieograniczenie; wszystkie towarzyszki słuchały jej nie rozumiejąc zupełnie. Nie należała do „panienek", ale i te ulegały despotycznej władzy. Wogóle H. robiła wrażenie osoby stojącej oddzielnie ponad tłumem.

Wpływu swego używała często na swoją korzyść, spokojnie wyzyskiwała inne, zabierając to, co jej się podobało; kazała sobie usługiwać, nie licząc się z nikim, zmuszała inne, aby stosowały się do jej woli. Nie kłóciła się z nikim, wojen ze starymi nie prowadziła. Czasem nawet słabszym towarzyszkom, nowo-przybyłym śpieszyła z doraźną pomocą. Zdawało mi się nieraz, że egoistycznych swych zapędów wstydziła się wobec nas, pokrywając zawstydzenie brutalnym śmiechem, lub udanym cynizmem.

Jeżeli towarzyszkom imponowała silną wolą, śmiałością, sprytem, to zwierzchność jej bezpośrednia w więzieniu ulegała H. z innego powodu: bała się jej krzyków i awantur. Życie nauczyło H., że w jej położeniu broń to silna i posługiwała się nią często. Opowiadała nam niejednokrotnie jak w więzieniach, na etapach wywalczała sobie należne jej prawa, a nawet przywileje awanturami. Opowiada np. jak kiedyś w Łukowie w czasie okropnej niepogody, nie chciano dać jej miejsca na wozie, chciano gnać pieszo na miejsce przeznaczenia; H. podniosła na rynku

wrzask, że iść nie może, że strażnicy ją biją; tak krzyczała, tyle narobiła hałasu, że zebrał się tłum; nietylko nikt nie śmiałby jej tknąć, ale żądaniu jej pierwszemu uczyniono zadość. Historję tę H. opowiadała z dumą i zadowoleniem. W ratuszu czując się chorą, żądała, aby ją przenieśli do „separatki" (oddzielnej celi)—żądanie to popierała groźbą awantury. Celę oddzielną dostała. W dwa dni powróciła z niej uspokojona, zadowolona, twierdząc, że lubi czasem być w ciszy i samotności. Smutne jej życie przekonało ją, że spryt tylko to życie ułatwić jej może, szła tedy w życie ze sprytem, dumna z niego; dumna i szczęśliwa nietylko wtedy, gdy sprytnie udało się jej uratować od nieszczęścia, uchronić przed krzywdą, lecz dumna i z tego, gdy sprytem udało się jej wywieść w pole, wyzyskać innych. Zdaje mi się, że w tej radości główną rolę grało nie zadowolenie ze zdobytego zysku, lecz radość ze swej siły. Cieszyła się, gdy „naciągnęła" kogoś na papierosy. Rozczęstowała je, opowiadając przy tej sposobności ciągle o swym „nabraniu".

W stosunku do nas zrazu zachowała się odpornie, nawet wrogo, nie chciała np. przyjąć podawanego jej lekarstwa. Wkrótce zawarła z nami ściślejsze stosunki: przychodziła często załatwiać z nami interesy swych towarzyszek (nici, igły, mydło, papier, pisanie listów, lekarstwa i t. p.) lub wprost na pogawędkę.

Przyznaję jednak, że w stosunku jej do nas było coś dla mnie przykrego. H. czuła doskonale, że otaczamy ją pewną życzliwością, że ją wyróżniamy, nie mogła się jednak zorjentować „dlaczego". Często próbowała grać na nas swymi żartami, cynizmem opowiadań, zdawało mi się, że z właściwym jej sprytem szuka gruntu, szuka co się podoba. Były jednak i ładne odruchy w tym stosunku. Gdy zżyła się z nami, chętnie spieszyła nam z pomocą drobnymi przysługami (starannie pielęgnowała jedną chorą). Raz wieczorem przyprowadzono do cel politycznych nowe aresztantki; H. pospieszyła z pomocą przy instalowaniu się, przyniosła sienniki z odległego składu; śmiała się, że zapracowała sobie „na wódkę" — ale gdy nie znające jej „polityczne" naprawdę chciały jej ofiarować monetę za przysługę, H. obraziła się i nie przyjęła wynagrodzenia. Inna scena osobiście miłe zostawiła mi wspomnienie.

Miałyśmy w celi pęk czerwonych goździków — te jaskrawe kwiaty zachwycały H. Na moją prośbę, aby wzięła sobie jeden, zrobiła to z wielką radością, mówiąc wesoło do towarzyszek, że pośle ten kwiat kucharzowi na etapowym więzieniu. Słysząc to, prosiłam, aby wzięła drugi dla siebie, bo jeśli ona pragnie zrobić kwiatem przyjemność kucharzowi, to ja chciałam, aby kwiat dał jej chwilę przyjemności.

Sądziła, że zrobiła mi przykrość, chcąc oddać coś, co ode mnie otrzymała. Przestała żartować, spojrzała na mnie serdecznie i poważnie podziękowała, mówiąc, że o oddaniu kwiatu mówiła żartem, że schowa go na pamiątkę; w tonie jej była wtedy szczera chęć zrobienia mi przyjemności.

Według opowiadań H. pochodziła ona z rodziny średnio zamożnej. Starsze rodzeństwo jej otrzymało jakoby jakieś wychowanie i naukę — ona tylko po śmierci matki była zaniedbaną. Ojciec miał „kochanicę", „niby macochę". O ojcu i jego kochance mówiła z gwałtowną, zawziętą nienawiścią. H. początkowo pracowała w fabryce, potym „na złość ojcu poszła na róg" — stając zawsze w okolicach, gdzie ojciec zamieszkiwał, „aby mu wstyd robić". Gdy ojciec raz wyjechał na dłużej z Warszawy, wróciła na dwa miesiące do fabryki, ale gdy mówiono ciągle o jej poprawie, „złość ją porwała" — wróciła do poprzedniego życia. Życie to uważała za bardzo ciężkie; „gdyby nie wódka wytrzymaćby nie można". Dnie całe spała i piła, by w nocy móc pić... i pracować. Jedna z moich towarzyszek, gorąca zwolenniczka antyalkoholizmu (pokutująca za tę ideję w areszcie ratuszowym) próbowała H. przedstawić szkodliwość alkoholu — rzuciła między innymi zapytanie, czy H. chciałaby aby jej córka tak piła. „Gdyby moje dziecko miało być takie, jak ja — roztrzaskałabym mu głowę. Moje dziecko musiałoby być takie jak ja sobie myślę". H. miała w duszy ideał człowieka; miała marzenie dla swojego dziecka.

H. obracała się w sferze nożowników. Opowiadania jej były też nieraz straszne. Brat jej, robotnik przy budowie III mostu, został „zaźgany od nasłanych przez macochę". Dziewczyna odgrażała się, że macocha zginie przez nią „za brata". Żalu jednak po bracie nie można było wyczuć, była dzika nienawiść do tej macochy.

O samym swym aresztowaniu opowiadała też jakąś krwawą tragiedję wśród zamętu, w której ją aresztowano. W nóż i jego potęgę H. wierzyła bezgranicznie. Wspominała nam nieraz, że gdyby chciała wrócić do fabryki, to „musieliby" ją przyjąć, choćby inne mieli oddalić. Na razie nie rozumiałam na czym opiera tę pewność i wiarę. Okazało się, iż H. wierzyła, że nóż i do fabryki wprowadzić ją może.

We flircie korytarzowym H. mało brała udziału; czasem jakby „dla szyku" rzucała przychodzącym mężczyznom trywjalne żarty, wybuchy dzikiego śmiechu; nie było w tym chęci podobania się, raczej jakieś cyniczne lekceważenie i pogarda. Natomiast, gdy raz jedna z politycznych przedstawiała jej w rzędzie krzywd życiowych prostytutki „brak jasnego szczęścia miłości" — H. z wybuchem śmiechu rzuciła w twarz przekonywającej ją inteligientki: „Gdy ja świsnę tylko — to przyleci z nożem, gdy będę chciała — to jucha popłynie". W tej możności rozporządzania ręką uzbrojoną w nóż, widziała szczęście — dar miłości.

Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że H. w opowiadaniach swoich puszczała nieraz wodze bujnej fantazji, pozwalała sobie w opowieściach iść dalej niż prawda. Czasem robiła to rozmyślnie, celowo, sądząc, że tym zaimponuje nam, zainteresuje specjalnie. Z drugiej jednak strony czułam czasem, że przy wielkim swym cynizmie H. nagle zażenowała się własnym opowiadaniem. Spuszczała wtedy głowę, przebierała szeroko rękoma i nogami i widać było, że myśl jej usilnie pracuje, aby szybko znaleźć sposób zmienienia tematu rozmowy. To samo zdarzało się stale, gdy usiłowano ją przekonać, że ma jeszcze taki szmat życia przed sobą, że może wieść je w innej, lepszej formie. Było wtedy tak, jakby dotykano bolącej rany na jej duszy i jakby ona broniła się przeciw dotykaniu tej rany.

Poświęciłam H. tyle miejsca, bo jednak z pomiędzy wszystkich poznanych przeze mnie dziewcząt bezwzględnie ona była najwięcej „kimś". Czuło się w niej silną indywidualność, dumę, siłę woli, inteligiencję. Wszystko to życie spaczyło. Zapewne była to jedna z tych natur, które nie potrafią się nigdy ułożyć w ciasne warunki obecnego życia — było w niej coś z burzy i z wichru, szamotała się dzika, nieokiełznana dusza, która jednak mogła wzlecieć tak wysoko jak nizko upadła. H. musiała żyć w wirze walki. Życie nie dało jej duszy radości, rzeczy pięknych i miłości godnych, — nauczyło tylko pogardzać i nienawidzieć; przymusem zaś zwalczając szamocące się w niej zło, nie pozwoliło mu wyrazić się w twórczej potędze dobra, w bohaterskiej walce ducha,—złamało ją i pchnęło na dno.

(d. n.) *Stefanja Sempołowska.*

NA DOBIE.

Wyrok.

Sąd przysięgłych, ktory uznał Siczyńskiego winnym morderstwa i tym samym potwierdził dawniejszy wyrok śmierci — trzymał się litery prawa. Wobec jawnego przyznania się do winy ze strony podsądnego, wobec zrzeczenia się przez tegoż wszelkich okoliczności łagodzących, zmniejszających odpowiedzialność lecz osłabiających również idejowe znaczenie czynu — sąd lwowski nie mógł orzec inaczej. Równocześnie jednak, uznając widocznie, że prawo nie jest zawsze wyrazem sprawiedliwości, a po nad sprawiedliwością niekiedy górować musi miłosierdzie i przebaczenie — wzniósł się ponad martwą literę prawa i jednogłośnie przedstawił podsądnego do łaski monarchy. Nie można wątpić, że Siczyński ułaskawiony zostanie.

Jest to jednomyślnym pragnieniem całego polskiego społeczeństwa, które przez wszystkie organy prasy domaga się dziś aktu łaski. Jakkolwiek nietylko uczucie humanitarne lecz i względy polityczne narzucają wprost takie stanowisko, jednomyślne żądanie to dowodzi w każdym razie wysokiego nastroju etycznego w naszym narodzie. Tyle gorzkich prawd mówimy swemu społeczeństwu, że wolno nam powiedzieć i prawdę dla niego zaszczytną. Krwiożercze owacje dla narzędzi śmierci, jakie widziano niedawno we Francji, są u nas niemożliwe. Naród męczenników nie może się przetworzyć w naród katów. Między nami a Ukraińcami wyżłobionym sztucznie korytem toczy się fala nienawiści, ale my nie zabarwimy jej krwią, a nigdy nie uczynimy szubienicy godłem naszej siły.

Puzyna contra... Słowacki.

Kościół wojujący, w osobach swych dygnitarzy, walczy nie tylko z żyjącymi przeciwnikami i idejami, przez nich głoszonymi, lecz i z prochami, które niegdyś oblekały ducha nieśmiertelnego...

Krakowska eminencja, kardynał Puzyna, wypowiedział walkę Słowackiemu, w zapale inkwizytorskim wygłosił, że nie wpuści prochów poety-rewolucjonisty na Wawel...

I padł strach na serca małodusznych, bo zapomnieli oni, że wola eminencji musi się ugiąć przed wolą całego narodu!...

Komitet krakowski dla sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju wpadł na dowcipny pomysł poskromienia Eminencji kardynalskiej: przez zaproszenie na przewodniczącego komitetowi ściślejszemu — marszałka krajowego, J. Ekselencji, Badeniego.

„*Ekselencja* marszałek, powagą swą, stanowiskiem i wpływami, urobi odpowiednio *eminencję*".

I w myśl tego pr jektu, na wiecu przedświątecznym w Krakowie, jednomyślnie zaproszono J. E. Badeniego na przewodniczącego ściślejszemu komitetowi, powołanemu na tym samym wiecu do ostatecznych kroków w tej sprawie.

I na tym można było poprzestać, nie próbując a raczej nie projektując nawet nowych poczynań.

Goniący jednak za popularnością we wszelkich sferach poeta, autor „Betleemu polskiego", p. Lucjan Rydel umyślił inną jeszcze kombinację, w myśl przysłowia o zapaleniu świeczki Panu Bogu i ogarka djablu (czyli pogodzenia woli narodu z wolą eminencji)..

Uczestnicy wiecu w sprawie sprowadzenia zwłok wieszcza Juljusza do kraju, przybyli z różnych krańców, nie wiedzieli, jakie ich czekają niespodzianki.

Sekretarz komitetu akademickiego, p. Wysocki, złożywszy sprawozdanie z działalności dotychczasowej komitetu, zaznaczył, że młodzież podda się w zupełności uchwałom obecnego zebrania. Mówił treściwie, rozumnie, bez pozy, szkoda że nie referował dalej sprawy,powierzając to „wymowniejszym ustom".

P. referent—Rydel w długiej swej mowie rozprawił się apodyktycznie z wszystkimi projektami,ferując postulaty, odczytał gotowe uchwały, które pozostawało tylko zaaprobować. Ponieważ naczelna uchwała brzmiała: „Oświadczamy się *w zasadzie* za złożeniem prochów Juljusza Słowackiego w podziemiach katedry wawelskiej, jako w narodowym pamiątek kościele", a cała mowa pod względem polotu myśli, doboru słów, była dziełem natchnienia, przeto oklaskiwano ją rzęsiście. Mówca, na razie, wziął to za aprobatę wszystkich proponowanych przez siebie uchwał..

Zdziwienie jego, gdy zażądano dyskusji, było równe zdziwieniu słuchaczów, gdy usłyszeli taki projekt *uchwały:*

„Zgromadzenie oświadcza się za utworzeniem z krypty Mickiewicza krypty trzech wieszczów i zwraca się do rodziny Zygmunta Krasińskiego z prośbą, aby pozwoliła na wydobycie zwłok jego z kaplicy w Opinogórze i złożenie ich w katedrze Wawelskiej. Zgromadzenie, w razie zgodzenia się rodziny, *uważa za wskazane urządzenie równoczesnego złożenia zwłok w roku bieżącym w krypcie Mickiewicza na Wawelu*". Niespodzianą tę „uchwałę" referent motywował zgoła nie po poetycku: *Słowacki nie może leżeć sam na sam z Mickiewiczem, bo za życia się wzajem nie lubili.* Rozjemcą byłby Krasiński, który też powinien się znaleźć między nimi...

Pierwszy pr. Feldman zwrócił uwawę na to, że zgromadzenie „zaskoczono" połączeniem dwu spraw odmiennych, z których sprawa złożenia zwłok Słowackiego na Wawelu jest już dojrzałą, druga nową, należy je więc rozdzielić i oddzielnie traktować. Poparli go zaraz przedstawiciele młodzieży p. p. Kuć i Sokolnicki.

Przybyły z Zagłębia Dąbrowskiego mówca,z rodzaju „braci łata"—stentorowym głosem „wołającego na puszczy" strofujący zgromadzonych,oświadczył się gorąco za „rezolucją" referenta, w imię tego, że wszyscy trzej wieszcze są złączeni w polskich duszach i sercach. Mówcy gorąco, z całych sił, przyklasnął z katedry prezydjum p. Rydel.

Inny jednak delegat, nie idąc bynajmniej za tym przykładem, spokojnie i rzeczowo przypomniał, że wiec zwołano w sprawie sprowadzenia zwłok Słowackiego, w tej mierze mocodawcy dali wysłańcowi mandat, który dalej nie sięga; rozdzielenie więc dwu spraw jest konieczne, o ile w dalszym głosowaniu mają brać udział delegaci.

To samo oświadczył przedstawiciel m. Lwowa, p. Majerski w pięknym, męskim swym przemówieniu. To samo życzenie, wymownie argumentowane, wyrazili pp. d-r Danielak, Turski, d-r Góra, poseł Tertil.

P. Rydel poczuł się odosobnionym,zwłaszcza gdy milczący jego protektorowie zaczęli wynosić się z sali, widząc, że duch buntu bierze górę. Zgodził się w końcu na rozdzielenie spraw, ale formalne,próbując jeszcze raz przeforsować sprowadzenie zwłok Krasińskiego w tym roku. Nad projektem jednak tej uchwały zgromadzenie przeszło do porządku dziennego w myśl słów jednego z mówców, powstającego przeciwko "*hurtowym* pogrzebom..."

Długoby zapewne p. Rydel spierał się o każde słowo swojej uchwały, gdyby nie poseł Tertil, który, zreasumowawszy głosy, przedłożył swoją formułę, przyjętą jednomyślnie a poprzedzoną śmiałym zwrotem (nie dosłownie): dlatego rozdzielamy te sprawy, aby nie dać powodu do mniemania, że sprowa-

dzenie zwłok Krasińskiego to okup dla tych biurokratów, którzy nie chcą wpuścić na Wawel Słowackiego.

Formuła posła Tertila brzmi:

„Przejęci głębokim uwielbieniem dla trzech naszych wieszczów, którzy w poezji naszej dali pełny wyraz miłości ojczyzny i wszyscy trzej są najwyższym uosobieniem pieśni polskiej, wyrażamy gorące życzenie, aby i prochy Zygmunta Krasińskiego spoczęły na Wawelu, jako w najdostojniejszym przybytku chwały narodowej, a wybrany dzisiaj komitet upraszamy, aby, celem rozszerzenia i przeprowadzenia tej myśli, wdrożył stosowne kroki".

Eminencja więc musi się pogodzić z tym, że rok bieżący będzie wyłącznie rokiem poświęconym czci Słowackiego, że Zygmunt Krasiński, jako najmłodszy wiekiem, ostatni wejdzie na Wawel, za 3 lata, w setną rocznicę swoich urodzin.

Naturalnie Eminencja będzie miał sposobność uczynić jeszcze niejeden wstręt niemiłemu komitetowi, w którym zasiada nawet... Daszyński; niejednego wypłatać figla—w rodzaju tego,który spotkał nas w dzień wiecu: nabożeństwo za spokój duszy Słowackiego, oznaczone pierwiastkowo w katedrze na Wawelu, niemal w ostatniej chwili odwołano i przeniesiono do kościoła Marjackiego.

Eminencja jednak będzie musiał wkońcu cofnąć swą pogróżkę i pogodzić się z faktem, że do Wawelu mają prawo rówież ci, którzy go uważają jedynie i tylko za skarbiec pamiątek narodowych.

Stary.

Ruch kobiecy w Polsce.

Ciekawy ten a mało wyzyskany temat poruszyła pani Cecylja Walewska w swym referacie, wygłoszonym d. 7 września w Polskim Stowarzyszeniu Równouprawnienia Kobiet (Zgoda 4). Referat ten stanowi streszczenie świeżo napisanej przez p. Walewską książki „O ruchu kobiecym w Polsce", która pomnoży jubileuszowe wydawnictwa im. Orzeszkowej, prowadzone przez p. Orkę (M. Rajchmanową).

Referentka zaznaczyła na początku, że nawet dawnej kobiecie polskiej nie obce były dążenia do reform, bo oto już za czasów Władysława IV występują kobiety z szeregiem żądań, mających na celu poprawę dotychczasowego swego położenia. Różne historyczne okoliczności zmuszają kobiety do zapomnienia o swych emancypacyjnych dążeniach i zajęcia się tylko sprawami narodowymi i dopiero Entuzjastki występują z wyraźnym kobiecym programem: z dążeniem do niezależności ekonomicznej, duchowej, z silnym protestem przeciwko kajdanom konwencjonalizmu, skuwającym ciało i duszę kobiety. Entuzjastki przygotowały grunt Prądzyńskiemu, który, jakkolwiek nie wolny od kompromisów—poparł silnie sprawę kobiecą. Jednocześnie prawie z książką jego „O prawach kobiety" zjawia się „Marta" Orzeszkowej, ta „Marta", która dreszczem trwogi przejęła młode kobiety z warstw zamożnych i średnich, pokazując im w jaskrawych barwach całą bezplanowość dotychczasowego wychowania kobiet i brak przygotowania do zarobkowej pracy. Książka ta miała epokowe znaczenie w rozbudzeniu świadomości kobiet. Sprawa kobieca znajduje rzeczników w obozie pozytywistycznym: Wiślicki, Świętochowski, Prus w pierwszym okresie swej działalności, Chmielowski, wymownie bronią praw kobiety. Aleksander Świętochowski całą siłą potężnej swej argumentacji woła o prawo do wiedzy dla kobiety.

Ludwik Krzywicki wyjaśnia ekonomiczną stronę ruchu kobiecego. Potężne kobiece talenty Konopnickiej, Orzeszkowej, Zapolskiej, naukowe badania Curie Skłodowskiej, Joteykówny, Stefanowskiej — siłą faktów popierają sprawę równouprawnienia. Młode talenty kobiece nabierają siły, skupienia, zwięzłości formy. Dawna kobieca rozwlekłość, wodnistość pióra nikną w utworach literackich Komornickiej, Ostrowskiej, Zawistowskiej, Rygier - Nałkowskiej, Marion. Wytworność formy, oszczędność słów cechuje najmłodsze autorki.

Obok literatury płynie szerokim łożyskiem współczesne życie kobiety. Stanęła ona na wszystkich placówkach kultury i działalności społecznej; szerzy oświatę, pracuje dla nauki i dobra ludzkości, ale nie zapomina o własnej sprawie, bo oto powstają liczne Stowarzyszenia kobiece: Pol. Stow. Równouprawnienia Kobiet, Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich, Koło Ziemianek, związki zawodowe; *Ster*, *Bluszcz*, informują o ruchu kobiecym.

Wydawnictwa Pol. Stow Rów. Kobiet: „Kobieta i polityka" Koszutskiej „Z dziejów krzywdy kobiet", C. Walewskiej, „Ekonomiczne czynniki ruchu kobiecego" E. Chwalewika, „Herezje w ruchu kobiecym" L. Koszutskiej, wreszcie doskonała broszura K. Dunina „Prawa Kobiet w najnowszym kodeksie szwajcarskim" pogłębiają w różnych kierunkach poglądy na sprawę kobiecą.

Niemałą przysługę w tym względzie wyświadczają pisma o charakterze postępowym, poświęcające sprawie kobiecej różne artykuły, jak *Prawda*, dawniejsze *Ogniwo*, *Nowa Gazeta*. Referat pani Walewskiej spotkał się z uznaniem wśród słuchaczek, gdyż zawierał wiele ciekawych wskazówek, obfitował w bogaty materjał historyczny.

lk.

Zebranie dyskusyjne P. Z. P.

dnia 20 kwietnia.

Na porządku dziennym zebrania była sprawa samorządu miejskiego. Referent, p. Józef Lange, objaśniał projekt samorządu miast Królestwa Polskiego opracowany przez ministerjum spraw wewnętrznych, który prawdopodobnie z małymi zmianami będzie przyjęty, gdyż opiera się na istniejących już w Cesarstwie rosyjskim normach samorządu — najbardziej zaś zbliżony jest do ustawy petersburskiej z r. 1902.

Omówienie samego projektu poprzedził pan Lange krótkim wstępem historycznym, dotyczącym samorządu miejskiego w społeczeństwach średniowiecznych i w Polsce. Samorząd wprowadzony u nas już w XIII w. do miast, oparty na prawie magdeburskim, upadał stopniowo w miarę rozwoju Rzeczypospolitej szlacheckiej a najwięcej upadł w w. XVII. Prawo z d. 18 kwietnia 1791 roku i konstytucja 3-go maja przywróciły go w zasadzie, rządy pruski i austryjacki zniosły go i dopiero za Ks. Warszawskiego miasta otrzymały bardzo okrojony samorząd, który przetrwał do 1818 r. W r. 1862 wskrzeszone rady municypalne zostały skasowane w r. 63-ym.

W porównaniu z samorządem miast rosyjskich obecna ustawa uwzględnia w wyższym stopniu zadania kulturalne. Wogóle zakres spraw oddanych samorządowi jest dość szeroki. Natomiast bardzo ujemnie przedstawia się ordynacja wyborcza ciał samorządnych, gdyż jest bardzo niedemokratyczna.

Wyborcy podzieleni są na trzy kurje narodowościowe: rosyjską, żydowską i ogólną, mieszczącą wszystkie inne narodowości.

O przynależności do kurji rosyjskiej w razach wątpliwych ma decydować gien. gubernator. Ilość radnych, wybieranych przez kurję żydowską ma być ograniczona w ten sposób, że tam, gdzie żydzi stanowią więcej niż 50% mogą wybierać tylko $^1/_5$ radnych, a gdzie mniej niż 50% najwyżej $^1/_{10}$. Census wyborczy posiadać mają właściciele nieruchomości, osoby posiadające świadectwa handlowe, osoby płacące podatek mieszkaniowy w War-

szawie nie mniej niż 8 rb. Rada miejska ma z pośród siebie wybierać prezydenta i zarząd. Językiem obowiązującym w korespondencjach z władzami jest rosyjski, w dokumentach, protokółach i t. p. — rosyjski i polski, w stosunku do osób i instytucji prywatnych poprzestawać można na polskim.

Prawo inicjatywy jest szeroko określone, posiada je bowiem ministerjum spraw wew., rada, zarząd i osoby prywatne. Sprawy większej wagi — jako to pożyczki przewyższające sumę dochodów z ostatniego roku i wydatki wyżej pół miljona wymagają zatwierdzenia ministerjum spr. wewn.; usuwanie urzędników, zatwierdzenia gubernatora. Niezależnie od tego, organ nadzorczy samorządu czyli urząd gubernjalny do spraw miejskich może zawiesić uchwały Rady, której przysługuje apelacja do Senatu.

Rada może być rozwiązana przed upływem kadencji 4 o letniej przez ministerjum spr. wewn. z upoważnienia Cesarza, z wyznaczeniem nowych wyborów nie później niż za 2 miesiące.

W dyskusji zabierali głos pp. Łypacewicz, Waydel, Balicki, Życki, Moszczeńska i inni.

Poddawano ostrej krytyce niedemokratyczność ustawy, zupełne wykluczenie kobiet od udziału w samorządzie, niedostateczne uwzględnienie języka polskiego i t. d.

P. Balicki zwrócił uwagę, że mimo wszystkich wad ustawy, w porównaniu z obecnym stanem rzeczy będzie to w każdym kierunku krok naprzód. P. Lange zgadzając się, że władze mogą nadużyć prawa ingerencji i uniemożliwiać uchwały Rady, przypomniał jednak, że to prawo przysługuje władzom we wszystkich krajach wobec samorządnych organów. Pan Życki wniósł, aby P. Z. P. zorganizowało cały szereg wykładów o samorządzie, gdyż temat nie został jeszcze dostatecznie rozwinięty i wyjaśniony. Zebranie przyjęło ten wniosek i przekazało do uwzględnienia Radzie.

Z Towarzystwa Bibljoteki Publicznej w Warszawie.

Towarzystwo Bibljoteki Publicznej sprawozdaniem swym za rok 1908 zamyka drugi rok swego istnienia, a czytając uważnie te kartki, wysnuć się z nich daje pewien fakt, który najwyraźniej określa znaczenie i charakter tej instytucji. Nie wskazuje ono nadzwyczajnych zapisów i ofiar, ale notuje pokaźną sumę 332 rb. 95 kop., na którą złożyły się pięciokopiejkowe opłaty za jednorazowy wstęp i prawo czytania na miejscu książek i czasopism; siedmiu dożywotnich członków płacących po 100 rb. złożyło 700 rb., ale rzeczywiści 3079 rb. 50 kop.

Liczby te najdobitniej świadczą o tym, że „Bibljoteka, stając się instytucją dla społeczeństwa potrzebną, znajdzie w tym społeczeństwie środki, pomoc dla swego istnienia i należytego rozwoju", że trafiła ona już do tych, dla których była stworzoną, że została przez nich ocenioną i oddaje im już niezaprzeczone usługi. Dlatego też ma ona prawo z dumą wypowiedzieć o sobie następujące zdanie, które wyjmuję ze sprawozdania: „Rok sprawozdawczy wykazał, czytamy, że, choćby nawet Bibljoteka Publiczna obecnie i w najbliższej przyszłości nie znalazła takiego poparcia, aby mogła stanąć odrazu na wysokości swego zadania — Krzewicielki wiedzy i ogniska rzetelnej pracy naukowej, skupiającej wszystkich, którym brak książki — gdyby, jednym słowem, nie mogła być twórczą dla upragnionego ojczystego rozwoju umysłowego — to dziś już, w naszych warunkach, jako wyraz i ogniwo wciąż potężniejących żywotnych potrzeb umysłowych ogółu, „Bibljoteka publiczna dla współdziałania i zadość czynienia tym potrzebom istnieć bezwzględnie powinna".

W krajach, które szczęśliwsze i odpowiedniejsze posiadają warunki do rozwoju instytucji kulturalnych, Bibljoteka miałaby prawo żądać poparcia od władz państwowych i uzyskałaby je niechybnie, u nas jest ona skazaną na zwracanie się do ofiarności publicznej, do ludzi „dobrej woli i szczodrej ręki", ale właśnie zważywszy na warunki, jednostki, które pozwolić sobie mogą na szczodrość, inaczej powinny u nas rozumieć swe obowiązki i nie pozwolić na to, by „to, co żyje — zamarło".

Liczba członków Towarzystwa wzrosła w roku sprawozdawczym z 214 na 572, dary w naturze napływały bardzo obficie i ilość tomów ofiarowanych Bibljotece w roku sprawozdawczym dosięgła 10,668. Wobec tego lokal zajmowany obecnie przez Towarzystwo staje się coraz mniej wystarczającym, komitet więc pomyślał już o powiększeniu go przez wynajęcie sąsiedniego lokalu i od lipca r. b. zajmować będzie cały parter domu na ul. Rysiej Nr. 1. Z tego też powodu budżet na rok 1909 przewiduje również niedobór 3435 rb., który trzeba będzie pokryć z pozostałości z roku 1908, że jednak wynoszą one zaledwie 4640 rb. 89 kop., komitet będzie musiał dołożyć wszelkich starań, by się nie uciekać do tej ostateczności, w czym dopomóc mu powinno społeczeństwo.

Prasa milczy...

Obok Filharmonji i wspaniałego domu Gebethnera jakiś przedsiębiorca zbudował dużą budę drewnianą dla produkcji kinematograficznych, bjoskopu etc. Przez szyby widzimy wielką dynamo-maszynę, na frontonie jakieś obrazy i rzeźby pierwszorzędnej tandety. Przybywa więc do iluzjonów, szynkowni i kabaretów jeszcze jakiś przybytek zabawy, gdzie ani mózg, ani dusza nie będą usilnie funkcjonowały.

Mniejsza o to: Warszawa się bawi w karty, kabarety, miłostki, apartyjność. Les rois s'amusent! Wszakże i ta biedna dusza warszawskiego filokabarecisty ma prawo do... normalnej śmierci i... pogrzebu w *krematorjum.* Zanim je jednak będziemy mieli, przypuszczam, że nawet zwolennik palenia ciał nie zechce, aby pewnego dnia wymieniony gmach przy Filharmonji odegrał rolę prowizorycznego krematorjum! Największa bowiem ostrożność naszej straży ogniowej nie zapobiegnie katastrofie w razie wybuchu w drewnianym budynku, gdzie będzie się mogło zmieścić 800 — 1000 ludzi! Pomijam sprawę zeszpecenia dzielnicy! Idzie tu o niebezpieczeństwo życia! Wiemy z doświadczenia jak takie gmachy w Ameryce, Anglji, Rosji — zwykle stawiane na placach jarmarcznych — szybko ogarniały płomienie a setki dzieci i dorosłych zostały zaduszone w popłochu. Robimy tę notatkę pod adresem *prasy codziennej.* Dlaczego milczy? Większym chyba obowiązkiem prasy jest uprzedzanie nieszczęśliwego wypadku, zapobieganie wielkim katastrofom, niż rozdzieranie szat post factum i chełpliwe zapewnienie, że „pismo nasze wyprzedziło inne w zebraniu informacji".

Bezstronny.

BADANIA NAUKOWE.

Liberalizm, solidaryzm i socjalizm.

III

Określenie socjalizmu najwięcej przedstawia trudności nie ze względu na treść jego, ale namiętności, które porusza. O socjalizmie z nikim prawie spo-

kojnie mówić nie można. Spotyka się i w życiu, i w literaturze jego bezwzględnych przeciwników i bezwzględnych zwolenników. Jednych przeraża, innym jaknajpiękniejsze szepcze nadzieje. Niewielu ludzi potrafi go obserwować *sine ira et studio*. Niema w tym nic dziwnego. Socjalizm widzimy ciągle w ogniu walki, groźnie uzbrojony przeciwko społeczeństwu mieszczańskiemu. Nadaje mu to często pozory zupełnie niewłaściwe, czyni go straszniejszym, niż jest w rzeczywistości. Jak wspominałem już, socjalizm nie stanowi bynajmniej takiego przeobrażenia społeczeństwa spółczesnego, któregobyśmy nie mogli pomieścić w naszych pojęciach o państwie i społeczeństwie, tak jak np. anarchizmu. Swemu stałemu pogotowiu wojennemu socjalizm przeważnie zawdzięcza, że wydaje się tak przerażającym i swoim zwolennikom, i swoim przeciwnikom. Nie wypływa to wcale z jego istoty. „Z historycznego punku widzenia demokracja socjalna przedstawi się tylko jako silnie w lewo nachylająca się partja środkowa". (A. Menger). W codziennej walce naturalnie olbrzymieją te drobne starcia i wypadki, które nikną zupełnie w perspektywie dziejowej, dla chwili bieżącej wszakże mają one znaczenie decydujące.

To stanowi też ogromną trudność określenia istoty socjalizmu, odróżnienia w nim tego, co jest przypadkowym, od tego, co jest koniecznym, bez czego socjalizm przestaje być socjalizmem.

Od syndykalizmu rewolucyjnego do Guesde'a a od niego do Jaurèsa, lub Brianda albo Vivianiego, od Kaustky'ego do Bernsteina — wszystko to jest socjalizm, a jednak ileż pomiędzy nimi różnych odcieni, chociaż jednej barwy.

A ile różnic pomiędzy partjami socjalistycznymi w sprawach, nieraz bardzo zasadniczych, które nastręcza życie parlamentarne (np. głosowanie za lub przeciw budżetowi państwowemu). Pomimo tych różnic, istnieje pomiędzy wszystkimi kierunkami socjalizmu, zarówno w teorji, jak i w praktyce, zarówno w polityce, jak i gospodarstwie społecznym pewna wspólność zasad i celów, która jednoczy w sobie ostatecznie pozorną rozbieżność myśli i czynów.

Pomijamy więc różnice, dzielące rozmaite odłamy socjalizmu, jako zjawisko przypadkowe, a przechodzimy do tych wspólnych zasad, które stanowią jego podstawę. I tutaj, jak przy charakterystyce liberalizmu trzy postawimy pytania:

1) Jaka jest podstawa socjologiczna socjalizmu?

2) Jaki jest według niego stosunek jednostki do państwa?

3) Jaki jest według niego układ stosunków gospodarczych?

Pierwsze z pytań powyższych, dotyczy zasadniczych czynników życia i rozwoju społecznego i ma dla każdego systematu społeczno - politycznego, a więc i dla socjalizmu, znaczenie decydujące. Socjalizmu też zrozumieć nie można bez jego podstawy — teorji t. zw. materjalizmu historycznego, jak wolą niektórzy ekonomicznego. Podobnie jak liberalizm wszystkie zjawiska życia społecznego uważa za wypadkową czynników biologicznych, tak samo socjalizm sprowadza je do czynników ekonomicznych. One to są źródłem i treści i formy stosunków społecznych. Jakkolwiek pewne zaczątki materjalizmu ekonomicznego Loria znajduje już u Arystotelesa, a i później niejeden uczony rozumiał wagę czynników ekonomicznych, niewątpliwie wszakże materjalizm dziejowy dopiero w dziełach Marksa i Engelsa został wyraźnie sformułowany i podniesiony do znaczenia teorji zasadniczej, na której zbudowano cały systemat.

„W społecznym współżyciu, powiada Marx, ludzie wytwarzają określone, konieczne, od woli ich niezależne stosunki produkcji, odpowiadające określonemu stopniowi rozwoju materjalnych sił wytwórczych. Całość tych stosunków wytwórczych stanowi ekonomiczną budowę społeczeństwa, realną podstawę, na której wznosi się prawna i polityczna nadbudowa i której odpowiadają określone formy społecznej świadomości. Od sposobu wytwarzania materjalnych warunków zależy wogóle społeczny, polityczny i umysłowy proces życia. Świadomość ludzka nie określa form ludzkiego bytu, lecz przeciwnie społeczny byt człowieka oddziaływa na jego świadomość". Niejasność zawarta w określeniu powyższym, a szczególniej niedostateczne wyjaśnienie znaczenia wyrazów: materjalne siły wytwórcze, oraz sprzeczności, w które bardzo często wpadał w swych pismach sam Marx, a bardziej jeszcze Engels, do dziś dnia są przedmiotem sporów. Nie będę tutaj wdawał się w szczegółowy ich rozbiór, nie wchodzi to bowiem w zakres niniejszej pracy [1]). Sprawa materjalizmu ekonomicznego w każdym razie dziś jest jeszcze otwartą. Nie rozstrzygając na tym miejscu pytania, czy warunki produkcji są rzeczywiście tym najprostszym pierwotnym czynnikiem rozwoju społecznego, którego na bardziej pierwotne czynniki rozłożyć się już nie da, czy też są one tak samo czynnikami pochodnymi, jak np. czynniki polityczne lub idejowe, zaznaczę w każdym razie, że nauka dotychczas nie znalazła dla wyjaśnienia zjawisk społecznych teorji, którąby głębiej sięgała w ich istotę, niż materjalizm ekonomiczny. Wszelkie wyjaśnienia, oparte na myśleniu lub działaniu ludzkim, mogą być zupełnie słuszne, są nawet bardzo pożyteczne, nie sięgają one wszakże do przyczyn pierwotnych, zatrzymują się na zjawiskach, które same są skutkiem i wymagają wyjaśnienia, czyli, że same przez się za wyjaśnienie służyć nie mogą. Materjalizm historyczny, jako podstawa socjologiczna socjalizmu, pod tym względem spokrewniony jest z biologiczną teorją liberalizmu, że i socjalizm i liberalizm czynniki rozwoju społecznego mieszczą poza świadomością człowieka, z tą tylko różnicą, że gdy pierwszy widzi je w stosunkach ekonomicznych, liberalizm w danych biologicznych. I w tym tkwi wielka ich zasługa, ustalenie bowiem tej zasady umożliwiło dopiero podniesienie nauk społecznych do godności umiejętności. Materjalizm ekonomiczny stanowi konieczną podstawę socjalizmu, a zwolniony od „ekscesów", których dopuszczali się liczni prozelici marxizmu, pogłębiony przez poważne prace swych zwolenników, a nawet przeciwników, stanowi najpewniejszy dotychczas klucz do wyjaśnienia zjawisk społecznych.

Ale, mówiąc o materjalizmie ekonomicznym, nie można nie wspomnieć o ściśle jakoby z nim związanej teorji walki klas. Jakkolwiek w nauce samego Marxa i przeważnej większości socjalistów, stanowi ona bezwzględnie konieczną podstawę socjalizmu, i jakkolwiek sprzeczność interesów rozmaitych warstw społecznych jest faktem niewątpliwym, nie uważam walki klas za istotną część socjalizmu, choćby dlatego, że jest ona tylko zjawiskiem historycznym, i że rozwój społeczny prowadzi właśnie do społeczeństwa bezklasowego. Jako więc zjawisko przemijające teorja walki klas nie może być uważana za istotną cechę socjalizmu, wychodzi zatym poza zakres niniejszej pracy. Socjalizm zwalcza walkę klas, nie wchodzi ona zatym do jego systematu jako element stały i konieczny, nie stanowi jego istoty i dlatego nad nią zatrzymywać się nie będę.

(C. d. n.) *Józef Lange.*

[1]) W piśmiennictwie polskim mamy obecnie kilka prac, z których czytelnik z przedmiotem tym zapoznać się może, szczególniej Kazimierza Krauza: Materjalizm ekonomiczny, dalej prace Kautskyego, Garskiego, Daszyńskiej-Golińskiej, Lorii.

LITERATURA i SZTUKA

Myśl polska u poetów ostatniej doby.

Zanim przejdę do rozważania tego, co nazywa się Młodą, choć latami na przełomie, Polską, chciałbym wyjaśnić swoje stanowisko w stosunku do sztuki nie objętej tym mianem, i specjalnie takiej, która nie wymaga przeprowadzenia z nią, walki. Or-ot jest pieśniarzem tak prostym, jak w świecie roślinnego piękna są srebrzyste ostromlecze.

Delikatne kule, uczuciowe, gotowe na podmuch wiatru lecieć Bóg wie w jaką dal—i „za kroplę swojej niemieckiej krwi" na polskich, wybitych armatami czy niedołęstwem brukach opowiadać tonem epickim, dokładnym a ożywionym i nie niemieckim (jeśli niemieckość zawrzemy w Klopsztoku), jak bili się Polacy pod Somo-Sierrą, jaką była ludność napoleońskich weteranów Starej Warszawy...

Żebym miał wypowiedzieć odrazu wszystkie zastrzeżenia, powiem, iż to jest istotny i tęgi ton Or-Ota.

Tam, gdzie tworzy nastroje z Szopena, okazuje jakby brak wnętrza, niema tego metafizycznego objawienia, które za cechę istotnej muzyki stawił Wagner i Szopenhauer, niema nawet tego romantycznego szału, jakim wybucha Ujejski w Marszu pogrzebowym. — Książka rozpoczyna się od tonów poruszających uczucia najostrzejsze w nas, uczucia minionej Ojczyzny. Miało to być preludjum wzywające duchów, ale jest grane tak, jak grywają Szopena piękne dziewoje o marzących oczach, lecz nie wstrząśnionej jeszcze duszy.

Nagle jakby zaczęły bić dzwony w jakimś małoznanym kościele Panny Marji na Starym Mieście. Huknęły tu i owdzie wystrzały dział. Zatętniły kopyta. Wszyscy rzucają się do okien...

Jakież widowisko!

— mówi wzruszonym a silnym głosem w płaszczu wędrowniczym polski Minnezynger...

Tylko nie śpiewa o miłości dla pięknej Fru, śpiewa o murach umarłego Starego Miasta, śpiewa o prostych, jednolitych, jak krzyż owity włosami narzeczonej — duszach starców.

Wiersz Stare Miasto — to epopeja.

Gdybyśmy zamiast nędzy ulic Brzozowej i korowodów więźniów wleczonych przez Franciszkańską do Cytadeli, mogli mieć Notre Dame, a choćby Rothenburg, Bruges, lub Gdańsk; zamiast Stasia-króla—jego ściętą głowę i wielki epos Rewolucji r. 1793 —

Minnezynger mówiłby rzeczy, obchodzące świat.

Tworząc pieśni o Warszawie dawnej, mówi tylko do nas, lecz jest się mu prawdziwie wdzięcznym, iż chciał przeżyć te schodzące w mrok widzenia!

Tonem z Pana Tadeusza, jak fragment wyrwany stamtąd, niby opowieść o drzewach Litwy — płynie jego mowa z tym szczytnym złudzeniem:

„wnijdź tu, a całą piersią dech swobody pijesz".

I o tym napoleoniście, który stał się grajkiem podwórzowym —

i to świetne o starym żydzie księgarzu:

„A gdy Jawor wspomni niebo Wschodu,
Z ust mknie jękiem, w oczach łzą majaczy
Oplwanego tęsknotą narodu,
Wiecznych rabów i wiecznych tułaczy!

Pełne wdzięku ironicznego pastela, te trzy boginie:

„Gdy Warszawę senny zmrok zalewa,
„Domcia" drepce spędzić rekreacją:
Na Zapiecku Rozalja i Ewa
Z apetyczną czekając kolacją.
Do kabały skłonność mają wielką,
Przy kolacji stawiają pasjanse,
Lub przy lampie z zieloną umbrelką
Staroświeckie czytają romanse".

I ponieważ nietylko w epoce kiedy śpiewano Filona, kiedy księżyc zachodził, a psy zaczynały drzemać—ogarniało ludzi wielkie wzruszenie, więc i teraz—

„Domcia z kąta sięga w dal oczyma,
Wielki ból się w piersi jej rozszlochał,
Ona jedna żadnych wspomnień nie ma,
Jej, jej tylko nigdy nikt nie kochał"!

List ze Sybiru wznosi się do szczytności.
I Elstera. I Etap.

„Niema dnia! niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzają: Pamiętaj! — straszne, jak przekleństwo!
O matko! jeśliś chciała dać błogosławieństwo,
Bym żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając: — Zapomnij! —

. . . .

„Na zimnym brudnym cuchnącym etapie
W tłuszczą wyjącą stłoczonej komorze,
Gdzie sople lodu wiszą na pułapie —
Przyszły po niego archanioły Boże".

Lecz Or-Ot jest jednym z tych, którzy tracąc złudzenie iż Warszawa z przed r. 63 i z przed 31 jeszcze dotąd żyje, czują się jak w Ogrójcu w świecie współczesnym, czują się zabijanymi przez dziwne bakterje...

„Dzwoniły trwogą wszystkie duszy dzwony
I było serce, jak gorzkości czasza,
Kiedy odlatał złoty ptak skrwawiony,
Gdy zamierała święta Miłość nasza.

Jest taka chwila, gdy zmęczona dusza
Zwinęła skrzydła skrwawione i chore,
I samą siebie do upadku zmusza,
W bezmyślnej drzemki grożąc się amforze.
Jest taka chwila, gdy podobna Niobie,
Pierś chłonie zbawcze, jak śmierć odrętwienie,
I z wszystkich uczuć, co kipiały w tobie,
Wypełza tylko: bezkresne znużenie".

W wierszach pięknych z Baudelairowską złowieszczą samoanalizą oddany jest ból ropiejącego wnętrza.

„W otchłaniach nocy przeraźliwie jasna
Nawpół spróchniała moja czaszka własna
Śmieje się ze mnie cynicznie i smutnie".

Demony wydzierają moc temu, który szedł wielką drogą w Polskę dawną, jakby go ten straszny dom Usherów zaraził...

„On nie pójdzie na skalne krawędzie
W blaskach słońca potężne snuć dzieła,
I anielskość swą zgwałci — i będzie
Jako gwiazda, co w błoto runęła.
Gdy zatęskni za niebios ojczyzną,
Wąż cynizmu przydusi wspomnienia,
Ja kipiącą go zwalczę trucizną,
Ja alkohol! ja demon zniszczenia!

Nic go z wściekłych mych szponów nie wydrze,
Mojej grozie nie oprze się niczym,
Myśl, że ginie, w nerw każdy mu wpiję —

. . . . . .

I zabiję, zabiję, zabiję! .."

To nie jest świadomość lekarska złego — to straszny majak zgorączkowanego, to przerażenie człowieka, który zbyt już długo żył w lochach —

i ma za fatum to, co jest tylko brakiem Słońca.

Cząstka duszy narodowej żyje na takich zamkniętych zamroczonych podwórzach, wepchnięta w sute-

ryny, gdzie łzawo błyszczy krucyfiks, a z pod stołka migoce niedopita butelka z trucizną — więc kto tam zaszedł, musi uczuć:

„Żywiołem twoim rozpacz jest i płomień".

Lecz Płomień!

Płomień przedewszystkim. Wtedy możnaby nawet nie rozpaczać.

I osobliwie nad tym:

„O, gdyby ową pierwotną wiarą
Można cię natchnąć, dzisiejszy tłumie!
. . . .
Czerwone słońce w dali skonało
I było ciemno w książnicy starej".

Najdziwniejsze to złudzenie, iż czas jest powracalny.

Wypływa z mechanicznego instynktu, iż zjawisko jest tylko przestawianiem elementów.

Zjawisko każde jest niepowracalne, świat cały jest tkany na przędziwie natychmiast i bezpowrotnie niszczonym i na nowo tworzonym, którym jest czas.

Wielka ewolucja twórcza czeka tych, co odejdą od melancholji lochów, wgłębią się w muzykę Bethowena, w szum morza północnego.

Zabije w nich tęsknotę do mirażów, które były piękne, narodzi wiarę w Niagarę zjawisk, która— już obojętne—czy z uliczki św. Jana wystrzeli, czy z tatrzańskich hal? Ustanie melancholja za Starem Miastem, niedość Starym, i niedość Miastem (Urbs romana)!

Ale krytyk nie jest kabalarką. I ja nie wróżę, lecz mówię jeno o wydanym już Wyborze Poezji:

Tam są pogrzebane wielkie iskry popiołów narodowych.

I zanim już Stare Miasto będzie palimpsestem, gdzie zapiszą się dzieje nowej stolicy polskiego ducha —

zanim Minnezygerowi nad gromem „lampka się zapali i płomyk zatli pomału, jakby łonty u zapału" —

wielkiej otuchy pokoleniom będą dodawać słowa, wyrwane z piersi Napoleonidów:

O, warto w boju nałożyć głową,
By reszta braci wskrzesła szczęśliwa!
Wolność! o złote, potężne słowo!
Wolność! niech żyje! Eljen! Evviva!

Tadeusz Miciński.

Cezary Jellenty: **Cyprjan Norwid** (szkic syntezy). Stanisławów rok 1909 str. 107. Nakładem Standachera i S-ki.

Gdy w nagłówku postawimy jako podtytuł „szkic", zrzekamy się przez to połowy odpowiedzialności. Szkicowość bowiem świadczy zawsze, iż autor tylko w ogólnych zarysach zamierza coś nam unaocznić, przedstawić. Takie ogólne traktowanie kwestji przed tym, nim szczegółowo poznamy istotę rzeczy, zazwyczaj mija się z prawdą, gdyż oparte jest na pozorach. (Nie kwestjonuję, że intuicja może wiele w danym wypadku.) I dla tego „szkicowość" jest jak najmniej pożądanym rodzajem w krytyce, która tu powinna być opartą na rzeczowej znajomości wszystkich materjałów dotyczących poruszanego zagadnienia.

„Szkic" p. Jellenty — należy do kategorji prac, które są oparte na materjale faktycznym, ale nie wyczerpującym tego wszystkiego, co już dziś posiadamy dla odtworzenia sobie prometejskiej postaci Norwida. Być może, iż dla tego p. Jellenta nazwał pracę swoją „szkicem".

Dyskusja a tym bardziej polemika z góry niemożliwa. Nie można przecież zbijać sądów krytyka, który warunkowość ich zastrzega w samym tytule. Można więc tylko albo pisać o metodzie krytycznej autora na podstawie książki, albo też książkę streścić. Wybieram to drugie, gdyż sądzę, że nie miejsce w sprawozdaniu mówić o metodach krytycznych „szkicu".

Na całość „szkicu" o Norwidzie składa się sześć rozdziałów: Człowiek i ustrój duchowy, Poeta ludów i stygmatów, Gama sztuki i wieża prac ludzkich, Cisi bohaterowie tragiedji, Tony najmocniejsze, Norwid i przyszłość. Wszystkie te rozdziały dążą do uwypuklenia psychicznych cech twórczości Norwida — by „Psychicznością" odbudować postać, portret. Ogólnikowe kategorje psychologiczne, które przez swoją nieokreśloność mogą być zastosowane do djametralnie sprzecznych organizacji moralnych — i nabierają wartości, gdy używamy ich na podłożu zdefinjowanego świata moralnego, u p. Jellenty dosyć luźno, niekonkretnie rysują Norwida. („Najmocniejszy ton", „niebyt", „chrześcijańskość"!) Ścisłej definicji świata wartości moralnych (światopoglądowych - ogólnych), przez które prowadzi pewna droga do ustalenia cech psychicznych (droga vice versa jest tylko pomocniczą, ale nie decydującą), w „szkicu" znaleźć nie można. Drobne bowiem urywki myśli Norwida o „sztuce" lub historjozofji — nic zgoła nie mówią, nie odbudowują „systematu" metafizyki twórczej Norwidowej. Po przeczytaniu książki dowiemy się że Norwida możnaby nazwać Platonem twórczości polskiej, to jednak nie tłumaczy nam, ani też w należytym świetle nie ukazuje Norwida — człowieka, artysty — zagadnienia moralnego.

Traktując pracę jako „szkic", nie należy może żądać więcej, niż p. Jellenta dał — a więc pracę jego przyjąć z szacunkiem. Z pośród prac, które dotychczas o Norwidzie ogłoszono — p. Jellenty jest jedną z ciekawszych. Życzyćby sobie jednak można, by czyjeś pióro ku zachwytom, jakie dziś budzi Norwid— przyłożyło więcej pietyzmu i rzeczowości, gdyż dopiero tym sposobem przeprowadzoną zostanie cenna ekshumacja pogrzebanego twórcy.

Zachwyt nie wystarcza by ukoić krzywdę wyrządzoną przez społeczeństwo — Norwidowi. Trzeba stronice jego twórczości zrozumieć — i przemienić w krew i ciało Kultury Polskiej.

Eustachy Czekalski.

Artur Schopenhauer — **O nieśmiertelności istoty naszej** — W przekładzie Antoniego Miecznika. Nakładem księgarni M. Borkowskiego. Warszawa 1909.

Wydawca tej broszurki miał pomysł fatalny — a wykonanie go jest rzeczą całkiem naganną. Treść broszurki stanowi jeden rozdział (10-ty) drugiego tomu dzieła wielkiego myśliciela p. t. „Parerga i Paralipomena". Kto i jaką korzyść osiągnąć może z przeczytania *jednego rozdziału* większej pracy, jaką nadomiar także zrozumieć można tylko w związku z innymi dziełami Schopenhauera, na które bardzo często sam on się powołuje? Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby każdy miał albo przeczytać wszystkie dzieła Schopenhauera, albo żadnego z nich nie brać do ręki. Ale chcieć poznać jego pogląd na „nieśmiertelność istoty naszej" t. j. na najcięższe zagadnienie, jakie istniało, istnieje i będzie istnieć, poznać ten pogląd z jednego rozdziału, byłoby to równie śmieszne, jak np. chcieć zgłębić naukę Schopenhauera o woli tylko *z tytułu* dzieła: „Świat jako wola i wyobrażenie". Jeden rozdział nie daje nic, nie może nawet w umyśle czytelnika zrodzić poczucia wielkości i głębi danego zagadnienia, a szczególnie — wspomnianego wyżej, które zajmowało umysł Schopenhauera w ciągu całego życia.

Co gorsza, uważam za rzecz szkodliwą wyrywanie rozdziałów z większych dzieł i podawanie ich na-

szym czytelnikom: taką metodą wytwarza się często całkiem mylne pojęcie o danym myślicielu. Mówiąc o wszelkiego rodzaju cytatach z dzieł w sprawozdaniach, rzekł Heine: „wybrane z ciasta rodzynki nic dają żadnego wyobrażenia o smaku ciasta".

Ten „rodzynek", który także jest tylko jedną dużą cytatą (33 stronice) nic nikomu nie da. Zaś bezmyślny czytelnik zachować może w pamięci tylko dowcipne acz puste, ostatnie zdanie djalogu, którym kończy sie ten rozdział, a mianowicie — powiedzenie *Thrasymahosa:* „Dziecinnym i całkiem śmiesznym jesteś ty sam równocześnie ze wszystkimi filozofami! Wszak to tylko dla żartu i dla przepędzenia czasu zdarza się, iż taki oto solidny jak ja człowiek, wdaje się z podobnymi głupcami przez kwadrans w pogawędkę. Idź sobie z Bogiem, mam obecnie daleko ważniejsze sprawy do załatwienia".

I ów czytelnik doda w prostaczej myśli, której nie zdoła pogłębić jeden rozdział: „Słusznie, Schopenhauer był rozsądnym człowiekiem"...

Czy więc wydawca winien mieć to tylko na względzie, że broszura dzięki tytułowi zdobyć może wielu nabywców? Wydawca, p. M. Borkowski, jak dotąd, sam widocznie uznawał szkodliwość takich broszur, bo nie kto inny, jak on sam, w spisie własnych wydawnictw wydrukowanym na okładce omawianej broszury, daje, między innymi, taki tytuł: „Ellen Key: Miłość i małżeństwo. *Szkic nie wyjęty z żadnej całości*". Snać p. B. teraz zmienił w tej mierze poglądy? Szkoda! *J. W.*

Z PRASY.

Pruska pułapka na kler katolicki.

Słowo w ostatnim tygodniu zamieściło ciekawy artykuł z Poznania p. t. *Zasadzka na duchowieństwo Wielkopolskie.* Mowa w nim o nowej ustawie, która już w marcu przeszła przez uchwałę pruskiej izby panów, a dotycze podwyższenia pensji duchowieństwu. Wyklucza ona od udziału w tym dobrodziejstwie rządu kler katolicki z Zachodnich Prus i Poznańskiego, a raczej wyklucza tylko warunkowo, pozwalając władzom administracyjnym (nie kościelnym) na udzielanie niższych niż w reszcie państwa dodatków do pensji tylko tym duchownym, „którzy nie objawiają wrogich uczuć przeciwko państwu".

Jest więc w tej ustawie punkt, może nawet niedość ostro napiętnowany przez korespondenta *Słowa*, a wprost upokarzający duchowieństwo polskie; jest prawnie ustanowiony fundusz na przekupywanie kleru katolickiego i przeciąganie go na stronę polakożerczego rządu, wbrew interesom ludu, nad którym duchowną sprawuje opiekę. Ta ustawa wyjątkowa, która „wiedzie na pokuszenie" duchownych, była wprawdzie zwalczaną w pruskiej izbie posłów, przez ks. prałata Stychla, który zapewniał, że „nie znajdzie się ani jeden ksiądz, któryby aspirował w tych okolicznościach wymagających zupełnego upokorzenia do dodatków pensyjnych" — jednakże zachowanie się w obec niej wyższego duchowieństwa trzech pominiętych djecezji bynajmniej zaufania nie budzi, a raczej każe się obawiać, że społeczeństwo polskie twardą będzie musiało stoczyć walkę przeciw szerzonej przez nią korupcji. „Takiego odszczepieńca prasa nasza cała i cały nasz ogół wytykałby palcami" — pisze pan A. Z. w *Słowie*, i pisze słusznie, gdyż istotnie w Wielkopolsce kontrola opinji nad jednostkami jest bardzo ścisła i byleby nikt jej kierunku nie spaczył polityczną szarlatanerją, zdoła się ona przeciw „odszczepieńcom" bronić. Nie sądzimy jednak, by słusznym był ostateczny wniosek, że „nastąpi jeszcze ściślejsze zbliżenie księży do ogółu", a w przekonaniu tym umacnia nas bezpośrednio po uchwale w *Kurjerze poznańskim* drukowany artykuł: „Interes społeczeństwa naszego a polityka władz kościelnych". *Kurjer Poznański* nie mówi nic o „zatrutej strzale" nowej ustawy, t. j. o warunkowych dodatkach; natomiast informuje dokładniej o przebiegu całej sprawy. Znamiennym faktem było, że w izbie panów przeciw ustawie przemawiał tylko przedstawiciel społeczeństwa polskiego, ks. Radziwiłł, wnosząc „uroczysty protest", natomiast przedstawiciel duchowieństwa katolickiego oraz zaprzyjaźnionego z nami centrum, ks. kardynał Kopp stwierdził, że projekt „przynosi sławę rządowi pruskiemu" i wyraził za niego najserdeczniejszą wdzięczność biskupów. W szczególności o zastrzeżeniu dotyczącym djecezji polskich powiedział co następuje:

„Podniesiono z niektórych stron wątpliwości, czy biskupi nie powinni — wobec wyłączenia dwuch kolegów odrzucić solidarnie całego projektu. Wątpliwości te usunęły — co z uznaniem zaznaczyć należy, właśnie dwie wyłączone djecezje (t. j. chełmińska i gnieźnieńsko-poznańska). Prosiły usilnie, czytam dosłownie ich słowa, „by pozostano przy rozdziale i by innych djecezji nie pozbawiono dobrodziejstw tej ustawy". Tymsamym wątpliwość została usunięta, ale głęboko należy ubolewać, że wyłączono dwie djecezje".

Wobec tego słusznie *Kurjer Poznański* stwierdza, że 1-o zaszedł konflikt między interesem trzech djecezji polskich a interesem reszty djecezji pruskich, 2-o władze duchowne poświęciły interes tych trzech djecezji interesowi tamtych, 3-o do tego resztę biskupów zachęciły właśnie władze duchowne polskich djecezji. „Biskupi pruscy—pisze dalej—zgodzili się na artykuł 15, kosztem interesów Kościoła w naszych djecezjach, kosztem interesów duchowieństwa polskiego, i kosztem ostatecznie interesów całego społeczeństwa polskiego".

Redakcja wzywa z tej racji społeczeństwo polskie do „bacznego śledzenia polityki władz kościelnych", do rozciągnięcia nad nią „kontroli opinji publicznej". Jestto naturalny i aż nadto uzasadniony wyraz nieufności — całkiem przeciwny temu ścisłemu zbliżeniu się duchowieństwa do polskiego ogółu, które zapowiada korespondent *Słowa* — bardzo idealizujący rolę społeczną duchowieństwa poznańskiego. Dodać należy, że naogół biorąc księża katoliccy w Prusach uposażeni są znakomicie, że posiadają obok dochodów kościelnych i pensji dobrze zagospodarowane probostwa, a w Poznańskim stanowią na ogół najzamożniejszą klasę społeczną. Podwyższenie pensji nie było zatym reformą palącą lecz raczej próbą zjednania dla rządu sfer klerykalnych i ściślejszego zespolenia ich z obecnym kierunkiem polityki. W prowincjach polskich, gdzie podsycane przez anty-polskie prawodawstwo antagonizmy narodowościowe, stawiają wciąż księży między młotem a kowadłem t. j. między obawą narażenia się rządowi lub narażenia się społeczeństwu, użyto ostrzejszego i bezpośrednio na jednostki korupcyjnie działającego środka t. j. dodatków warunkowych. Jestto więc nowa ustawa antypolska wielce niebezpieczna i wymagająca ze strony polskiego ogółu bardzo natężonej energji i czujności.

Z polityki zagranicznej.

Pozornie zażegnane dyplomatycznymi sztuczkami widmo zawieruchy europejskiej—nietylko nie znika z horyzontu lecz zjawia się w coraz nowej, coraz groźniejszej postaci. Po okresie konszachtów dyplomatycznych, nastąpił dzisiaj znowu okres „faktów dokonanych", które dyplomacja europejska będzie musiała wciągać do swych porachunków zapobiegając wedle uznania, by nic nie zachwiało sztucznie wciąż regulowanej równowagi europejskiej.

Zdumiewająca historyczna sielanka bezkrwawej młodotureckiej rewolucji przerodziła się w posępny dra-

mat.' Każda rewolucja mogłaby być bezkrawą, gdyby nie miała do czynienia z kontrrewolucją a ci co podziwiali dojrzałość polityczną, spokój i umiarkowanie młodoturków, zbyt mało liczyli się z warunkami i okolicznościami, zbyt wiele składali na karb wyższości duchowej inicjatorów przewrotu. Rewolucja turecka póty mogła być bezkrwawą, póki miała siłę zbrojną całkowicie po swej stronie,a nie przeciw sobie. Kontrrewolucja chcąc ją zwalczać, musiała wszcząć agitację wśród szeregów uzbrojonych, wywołać ferment niezadowolenia przy pomocy demagogicznej roboty. Jak wszędzie tak i tutaj w pierwszym rzędzie do roli tej nadawało się duchowieństwo. Jemu też w znacznej mierze przypisać należy nagły wybuch kontrrewolucji i jej tryumf chwilowy. Ledwie jednak młodoturcy zaskoczeni wypadkami zdołali się między sobą porozumieć, skupić i na nowo zorganizować, co trwało zaledwie parę dni, już okazało się, że istotna siła jest po ich stronie, a nawet ich wrogowie przejęci strachem gotowi są wobec nich kapitulować. Armja młodoturecka idzie na Konstantynopol.

Najbliższe dni rozstrzygną ostatecznie o zwycięstwie nowego porządku nad starym, o detronizacji sułtana o utrwaleniu konstytucji, przywróceniu obalonych ministrów — wszystko to jednak nie zdecyduje jeszcze losów Turcji ani Półwyspu Bałkańskiego. Rząd młodoturecki ma przed sobą trudne i skomplikowane zadania, utrwalenie porządku i wolności w kraju, obronę całości i niepodległości na zewnątrz, a zarówno długotrwały rozkład państwa Ottomańskiego jak i sieć zaborczych zabiegów, którymi je opleciono od lat wielu, czynią jedno i drugie niesłychanie trudnym.

W ciągu ostatnich miesięcy — nie chcąc zaledwie rozpoczętego dzieła zaryzykować w niepewnych losach źle przygotowanej wojny, młodoturcy czynili daleko idące ustępstwa — sąsiadom i mocarstwom. Chwila ich porażki już rozbudziła apetyty zaborcze, już Bulgarja gotowa była wkroczyć i przywracać porządek, już zagraniczne okręty wojenne płynęły ku Bosforowi. Tylko szybkie a trafne działanie mogło uratować kraj. Przymierze zawarte z obcoplemieńcami i chrześcijanami Półwyspu wzmocniło ich szeregi. Póki przywrócenie porządku i obronę konstytucji biorą na swoją odpowiedzialność — opiekunowie zewnętrzni muszą trwać w wyczekującej postawie, lecz każda nowa porażka posłuży za pretekst do interwencji i rozpęta długo ukrywane rywalizacje mocarstw.

Zaraz po wybuchu prasa niemiecka rzuciła podejrzenie, że kontrrewolucja jest dziełem Anglji,którą gniewa powolność nowego rządu względem trójprzymierza.

Nietylko to się nie sprawdza, lecz nasuwa się przypuszczenie, czy nie był to wyrafinowany wybieg dla odwrócenia uwagi od własnych machinacji. Nie można zaliczyć do zwycięstw polityki niemieckiej detronizacji Abdul Hamida „najlepszego przyjaciela" cesarza niemieckiego.

Równocześnie straszna tragiedja walk domowych w Persji zaczyna dobiegać do swego kresu. Tebrys, gniazdo rewolucji, otoczony zewsząd — ginie z głodu. Zasada nieinterwencji nie da się dłużej utrzymać w obec tego, że już cudzoziemcy i obce konsulaty zagrożone są zagładą.

Rosja w porozumieniu z Anglją wysyła odział wojska dla przebicia się do miasta i wpuszczenia choć zapasów żywności, śpieszy więc na ratunek perskich rewolucjonistów — przeciw współidejowcom pułkownika Lachowa.

i.

KRONIKA.

— Celem uczczenia półwiekowego istnienia Akademji Rolniczej w Dublanach, postanowiło grono byłych i obecnych uczniów tej szkoły urządzić tamże Zjazd koleżeński w dniu 12 czerwca b. r. Podpisany komitet uprasza przeto wszystkich interesowanych o podanie swych adresów celem przesłania im szczegółowego programu tej uroczystości. Za komitet jubileuszowy' Akademji Rolniczej w Dublanach: Prof. K. Malsburg, prof. dr. K. Mieczyński, prof. dr. St. Pawlik, dyr. prof. J. Mikułowski - Pomorski. Słuchacze Akademji: Bolesław Jaxa - Chamiec, Zbigniew Horodyński, Adam Kaczyński, Leon Kossak, Stanisław Lubiński, Aleksander Płużański, Tadeusz Wassung.

— Lwowski sąd przysięgłych orzekł iż Mirosław Siczyński jest winnym zamordowania byłego Namiestnika Galicji Andrzeja Potockiego; na mocy tego trybunał skazał Siczyńskiego na karę śmierci przez powieszenie. Sąd polecił trybnnałowi przedstawić Siczyńskiego do łaski cesarskiej. Obrońcy zgłosili apelację o uni ważnienie wyroku.

— Według informacji pism codziennych ministerjum wojny wydało polecenie aby w obrębie Królestwa Polskiego zaprzestano wszelkich robót przy budowie fortyfikacji. Wszystkie fortyfikacje w królestwie mają być zniesione, przebudowane i powiększone natomiast będą fortece w Brześciu Lit. i Oszowcu; nowa forteca ma być wybudowana w Kowlu.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Henryk Chankowski: „Wykład arytmetyki i zbiór zadań Wyd. Kursów buchalter. H. Chankowski. Warszawa. 1909.

— Stefan Kudzyński: „Rozkosze życia". Nowości literackie. Kraków 1909. St. Sadowski.

— Dr. Majer Bałaban. „Żydzi w Austrji za panowania cesarza Franciszka Józefa, ze szczególnym uwzględnieniem Galicji 1848 — 1908 r." Nakładem księgarni A. Staubacher i Sp. (Marjan Hashler) Stanisławów E. Wende i Sp. Warszawa.

— Walery Gostomski: „Arcytwór dramatyczny Wyspiańskiego „Wesele". Lwów. Warszawa 1908. E. Wende i S-ka.

— Pieśni Ludowe celtyckie, giermańskie, romańskie. Spolszczył Edward Porębowicz. Lwów, 1909. H. Altenberg.

— Adolf Czybiński: „O metodach zbierania i porządkowania melodji ludowych. Lwów. 1907. Nakł. Tow. Ludoznawczego.

— Antoni Miller: „Z dziennika prostytutki". Powieść psyhologiczna. Wydanie drugie . Skład gł. w Księg. Powsz.

— Dr med. Gaston Vorberg: „Poradnik dla nerwowo chorych", Katechizm dla neurasteników. Lwów 1909 r. Warszawa E. Wende i S-ka.

— Zofja Rygier Nałkowska: „Koteczki czyli Białe tulipany". Lwów 1909. Warszawa E. Wende i S-ka.

— Jerzy Kurnatowski: „Rozejm między pracodawcami a pracownikami". Warszawa E. Wende i S-ka. 1909 roku.

— M. Sachs: „O płomieniach" Stanisława Brzozowskiego. Lwów 1909, Warszawa E. Wende i S ka.

— A. N. Nowaczyński: „Co czasy niosą". Nowości literackie tom XIII. Warszawa, 1909 r. St. Sadowski.

— „Nowe Tory" zeszyt marcowy zawiera następujące prace. I. Moszczeńska: „Wychowanie klasztorne". Dr. Ant. Mikulski: „Pamięć a mnemonika". Ludwik Römer „Wykład chemji w szkole średniej". Zofja Skorobohata Stankiewiczówna: „Nauka rysunków jako czynnik ogólnokształcący w wychowaniu dzieci". Róża Centnerszwerowa: „Międzynarodowy kongres wychowania moralnego III Literatura dziecięca. Z Literatury: Książki dla młodzieży. Dzieła pedagogiczne w językach obcych. Z czasopism. Wiadomości bibljograficzne. Kronika. Kronika zagraniczna. Sprawy związków i stowarzyszeń. Polski związek nauczycielski.

— Katalog Nr. 6 „Nauki prawno-społeczne" wydany przez Hieronima Wilchera i S-ka w Warszawie.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.